

P O Z N A Ń S K I



# PEGAZ

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA 60/2005





Świąt prawdziwie świątecznych,  
ciepłych w sercu, zimowych na zewnątrz  
jaśniejących pierwszą gwiazdką,  
co daje nadzieję na następny rok.

Niech Święta Bożego Narodzenia  
i Wigilijny wieczór upłyną Państwu  
w szczęściu i radości przy staropolskich kołędach  
i zapachu świątecznej gałązki.

# Pegaz proponuje

## Z życia WSUS:

On zobaczenia i dzień dobry	s.8
Poznań i Karłowice w jednym stałym domu	s.18
Wystawa na Akademickim Szlaku	s.19
Wakry szachów częścią strategii szkoły	s.26
Byli, może warsztaty	s.57



## Rozmowy Pegaza:

Edukacja to świetny interes	s.2
Nie tylko dla uczelni	s.12
Uczelnia a dobry obyczaj	s.14
Możliwości i wartości	s.20
Pasce a domach otwartych	s.23
W służbie ojczyźnie małej i dużej	s.31
Uczelnia na miarę Europy	s.52



## Wydarzenia:

Konsulat Estonii w Poznaniu	s.4
Quo vadis, Malto?	s.26
Wodne torpedy w Śremie	s.36
Folklor z całego świata	s.40
Nie tylko w promieniach słonecznych opalamy się	s.51



## Wspomnienia i refleksje:

Powstanie prof. Piotra Dobrowolskiego	s.8
The Rolling Stones A Bigger Bang	s.46
Pasażerowie pod prądem	s.59



## Wystawy i recenzje

s. 7-22, 25, 30, 39, 42, 43, 48-50, 54-56, 62-64

## FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA

**Redakcja:** ul. Głogowska 26  
60-734 Poznań, tel. (061) 886 28 35  
**Redaktor naczelny:** Tomasz Dymaczewski  
**Opracowanie graficzne:** ORNATUS tel. 0 600 332 920  
**Druk i oprawa:** STARDRUK, Poznań, ul. Św. Antoniego 24,  
**Wydawca:** Ośrodek Badania Rynku Sztuki Współczesnej  
Poznań, ul. Głogowska 26

ISSN 1232-3292

© © Poznań 2005, Wszelkie prawa zastrzeżone

nr indeksu 468



*Milion Chińczyków studiuje za granicą*

# Edukacja to świetny interes

*Rozmowa z prof. dr. hab. Michałem Iwaszkiewiczem, rektorem Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych*

**Wrócił pan z VI China International Forum On Education and China Education EXPO 2005 w Pekinie. Oplaciło się pojechać tak daleko?**

Nie należy rozpatrywać tego w kategorii zysku czy strat, bo nie do końca zdajemy sobie sprawę jak olbrzymim rynkiem edukacyjnym jest rynek chiński i jak głęboko został on spenetrowany przez uczelnie amerykańskie, zachodnioeuropejskie i japońskie. Podczas kolejnych targów mieliśmy okazję zobaczyć jak prezentują się uczelnie brytyjskie, amerykańskie czy niemieckie zajmujące po kilkadziesiąt metrów powierzchni wystawienniczej każda. Każdy praktycznie uniwersytet miał swoje własne stoisko, na którym przewijały się tysiące ludzi. Nieoficjalne dane mówią, że poza granicami Chin studiuje w tej chwili milion studentów.

**Jak wypadły polskie uczelnie przy takiej konkurencji?**

Na tym tle polska ekspozycja prezentowana po raz pierwszy wypadła bardzo skromnie. Łączyła się z prezentacją uczelni, a nie z pełną ofertą handlową. Wszystkie uczelnie zachodnie prezentowały materiały w języku chińskim. Tymczasem polskie propozycje dla studentów Kraju środka przygotowane były po angielsku. A Chińczycy angielskiego uczą się wtedy gdy wyjeżdżają za granicę.

**Jakie było w takim razie zainteresowanie polskimi propozycjami?**

Mimo to zainteresowanie polskim stoiskiem było spore. Reprezentowanych na

nim było 21 uczelni, w tym wszystkie ważne uczelnie państwowe z sześcioma uniwersytetami. Spośród uczelni wielkopolskich prezentowały się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza i Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych. Głównym organizatorem wyjazdu była redakcja „Perspektyw” wraz z Fundacją Edukacyjną „Perspektywy” i „KRASPEM”. Jej przedstawicielką była prof. Monika Hardygóra.

**Czy program pobytu ograniczał się tylko do prezentacji na stoisku?**

Program pobytu był niezwykle napięty, bowiem oprócz uroczystości związanej z otwarciem targów i zorganizowanego z tej okazji bankietu, w którym uczestniczyło 3000 osób łącznie z ministrem edukacji Chin i ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Pekinie Krzysztofem Szumskim, odbyły się panelowe spotkania z udziałem wszystkich konsuli Polski w Chinach. Rozmawialiśmy o zwiększeniu obecności Polski w Chinach, promocji polskiej oferty edukacyjnej i technicznych aspektach tej sprawy. Wiąże się to z wydawaniem wiz i innymi formalnościami związanymi z pozyskiwaniem studentów chińskich do Polski. Na Uniwersytecie Pekінskim odbyła się sesja dotycząca rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce i problemów tegoż szkolnictwa. Mieliśmy okazję także zwiedzić dwie największe chińskie uczelnie – Pekінski Uniwersytet Języków Obcych i Pekінski Uniwersytet Techniczny. We wszystkich naszych działaniach uczestniczył ambasador RP w Chinach, Krzysztof



Szumski. Najważniejszym problemem jaki rysuje się przed polskimi uczelniami jest sprawa odpowiedniej promocji Polski na rynku chińskim. Cały świat traktuje rynek edukacyjny jako biznes. Są kraje, które zarabiają na tym ogromne pieniądze.

#### **Czy my też możemy zarabiać na edukowaniu Chińczyków?**

Uczelnie polskie są relatywnie tańsze, a jakościowo równie dobre, a może i lepsze od ofert uczelni amerykańskich, niemieckich, brytyjskich, hiszpańskich czy japońskich. Jeżeli chcemy na tym rynku zaistnieć i mieć z tego określone korzyści musimy zwiększyć szeroko rozumianą promocję Polski. Polska jest krajem w Chinach niewidocznym. Na targach traktowano nas jako coś egzotycznego. Dlatego trzeba zaktywizować działania. Konsul generalny RP w Szanghaju – Sylwester Szafarz podjął inicjatywę zebrania lobby propolskiego spośród byłych studentów i absolwentów polskich uczelni pełniących znaczące funkcje w polskim biznesie. To jednak tylko początek. Jeżeli Polska chce funkcjonować na rynku chińskim konieczne są radykalne działania.

#### **A czy nasza uczelnia – Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych zamierza rozszerzyć kontakty z Chinami?**

Jesteśmy wyjątkowo zainteresowani. Na razie mamy tylko dwóch studentów chiń-

skich, ale zamierzamy uczestniczyć w kolejnych targach edukacyjnych stale rozszerzając ofertę. Warto wiedzieć, że spośród poznańskich uczelni najwięcej studentów chińskich ma Akademia Medyczna. Myślę, że było to przetarcie szlaku do Pekinu. Chińczycy zainteresowani są bardzo konkretnymi zawodami. Dlatego licznie reprezentowane były politechniki i Akademie Medyczne. Ale są również zainteresowani studiami na kierunkach humanistycznych. Każdy kierunek odpowiednio zapromowany może spotkać się z zainteresowaniem. Nowym zjawiskiem jest pojawienie się w Chinach rekruterów, a więc agencji zajmujących się pozyskiwaniem studentów dla zagranicznych uczelni. Spotkał się rekruter Akademii Medycznej w Poznaniu. Rekruterzy docierają do różnych grup na prowincji. Jest jedna uczelnia w Polsce, która ma długoletnie kontakty z Chińczykami. To Wyższa Szkoła Handlu i Prawa im. Ryszarda Łazarskiego w Warszawie. Od lat ma ona na targach w Pekinie własne stoisko i uczestniczy także w targach objazdowych. W trakcie naszych rozmów w Chinach także znaleźliśmy rekruter dla WSUS.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

foto: archiwum

## Konsulat Estonii w Poznaniu

## Państwo małe ale silne

**O**d 11 marca Estonia, jeden z najdynamiczniej rozwijających się krajów Europy ma swój konsulat honorowy w Poznaniu. Mieści się w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych przy ul. Głogowskiej 26. Konsulem honorowym jest rektor naszej uczelni – prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz. W uroczystości otwarcia konsulatu udział wzięli Dyrektor Generalny Departamentu Konsularnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Estonii Jaanus Kirikmaa, ówczesny ambasador Estonii w Polsce Aivo Orav z małżonką Mare, Ingrid Amer z Departamentu Politycznego MSZ Estonii, Marika Koiv sekretarz do spraw konsularnych Ambasady Estonii w Warszawie i Tina Tarkus sekretarz do spraw ekonomicznych ambasady Estonii w Warszawie.

Wieczorem w gościnnych progach Pałacu Działyńskich odbył się bankiet z okazji otwarcia konsulatu. Wśród licznych gości obecni byli: wojewoda wielkopolski Andrzej Nowakowski, wiceprezydent Poznania Maciej Frankiewicz i wicemarszałek woj. wielkopolskiego Kazimierz Kościelny. Konsulat honorowy Estonii jest 18 taką placówką w Poznaniu, a konsula, co wielokrotnie podkreślał łącząc z Estonią swój rodzinne. Było więc to spełnienie jego marzeń.

Podczas uroczystości w Pałacu Działyńskich wszystko odbyło się z estońską tradycją – drzwi były szeroko otwarte dla gości. Konsul Iwaszkiewicz, ambasador Aivo Orav i dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ Jaanus Kirikmaa spoglądali kto jeszcze nadchodzi. Nazajutrz estońscy goście chcieli koniecznie spróbować polskiej kuchni. Gdy w „Młyńskim kole” konsul zaproponował czerinię na jej zjedzenie zdecydował się jedynie Jaanus Kirikmaa.

## Dni, lektorat, rozmówki

Na przełomie listopada i grudnia odbędą się w Poznaniu II Dni Estonii.

Honorowy patronat nad tą imprezą objął prezydent Poznania Ryszard Grobelny. Kontakty pomiędzy Wielkopolską a Estonią rozwijają się niezwykle dynamicznie. Sprzyja temu nie tylko obecność kon-

sulatu, ale także pomoc ambasady Estonii w Warszawie z szefową Wydziału Konsularnego Liiną Lies. Ogromnym powodzeniem wśród studentów różnych poznańskich uczelni cieszy się lektorat języka estońskiego zorganizowany przez Wyższą Szkołę Umiejętności Społecznych. Dlatego lektor dr Robert Bielecki przygotował podręcznik języka estońskiego dla Polaków. Będzie on wydany wspólnie z ambasadą Estonii jeszcze w tym roku. Pojawiają się też „Rozmówki polsko-estońskie”. Do Estonii w ramach programu „Socrates – Erasmus” wyjeżdżają też studenci. Konsulat planuje też zorganizowanie wyjazdów studyjnych dla biznesmanów, oraz ludzi kultury i nauki. Dojdzie do nich na początku przyszłego roku. Pomóc ma w tym także Wielkopolska Izba Przemysłowo-Handlowa.

## Wygrali pierścieniówkę

Dodajmy, że w wielkopolskich szkołach rozwijać się będzie organizacja „Pro Estonia”.

Przejawem obecności Estończyków w Poznaniu był też Światowy Festiwal Folkloru jaki latem tego roku zorganizował Zespół Pieśni i Tańca „Poznań” Akademii Wychowania Fizycznego. Uczestniczył w nim estoński zespół „Segapidi” (na zdjęciu). Estończycy nie tylko znakomicie prezentowali folklor swego kraju, ale także wygrali w turnieju pierścieniówki czyli kaszubskiej siatkówki.

## Estonia szuka partnerów

Podczas pobytu w Poznaniu estońscy goście poznawali kuchnię polską, tymczasem podczas pobytu w Tallinie konsul prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz poznawał kuchnię estońską. Kuchnia estońska to m.in. mieszanka ziemniaków, kaszy z masłem i skwarkami. Wszystko zaprawione kwasem chlebowym.

Jego wizyta związana była ze zjazdem konsułów honorowych Estonii z całego świata. Jest ich 93. W Tallinie obecnych było około 60. Niezmiernie ważne były dla prof. dr. hab. Michała Iwaszkiewicza spo-





tkania z premierem Andrussem Ansipem i prezydentem Arnoldem Ruutem. Prezydent bardzo interesował się możliwościami budowy Via Baltica. Wysoko ocenił istnienie w Poznaniu lektoratu języka estońskiego. Wyraził uznanie dla zamiaru wydania podręcznika języka estońskiego. Konsulowie zwiedzali też słynne Muzeum Almar Folk w Tallinie. Poznawali tam m.in. muzykę i taniec ludowy, zobaczyli skansen, oraz zjedli lunch w tradycyjnej tawernie.

A ponieważ Estonia dynamicznie się rozwija dlatego wiele miejsca poświęcono możliwościom wymiany gospodarczej. Przedstawiono obszary, w których Estonia szuka kontaktów. Przede wszystkim chodzi o inwestycje w kraju, który dysponuje wysoko postawionym przemysłem przetwórczym, biomedycyną i nowoczesnymi technologiami elektronicznymi.

Na razie największym partnerem gospodarczym Estonii (62 procent obrotów) jest Szwecja, drugie miejsce zajmuje Finlandia, a trzecie USA. Polska stanowi ułamek procenta, choć mogło by to wyglądać zupełnie inaczej. Jest wiele małych i średnich firm gotowych podjąć współpracę z Polską. Rozmawiano o nowoczesnych technologiach informatycznych i telekomunikacyjnych, przemyśle maszyn drukarskich, budowie dróg, asfalcie, piekarnictwie, przemyśle elektrycznym, agroturystyce, współpracy banków i firm ubezpieczeniowych, przemyśle tekstylnym, mleczarstwie, rybołówstwie, przemyśle leśnym, budownictwie, elektrowniach wiatrowych, budowie

statków, budowie domków drewnianych, przemyśle rolno-spożywczym. Kontakty z firmami estońskimi umożliwić mogą Estońska Izba Przemysłowo-Handlowa i towarzystwo firma „Invest In Estonia”. Wiceprezes Narodowego Banku Estonii Andru Alber przedstawił koncepcję wprowadzenia euro. Estonia spełnia wszystkie potrzebne parametry wyznaczone przez Bank Światowy i najdalej w przyszłym roku będzie to możliwe. Konsulom przedstawiono wszystkie plusy i minusy. Tych pierwszych jest oczywiście więcej.

A tajemnica cudu gospodarczego Estonii polega na niezwykle konsekwentnie przeprowadzonej w 1992 reformie monetarnej. Wprowadzono wtedy sztywny, do dziś obowiązujący kurs 1 euro = 15 koron, po drugie bardzo liberalna polityka podatkowa, pozwalająca na inwestowanie i prywatyzację. Sprywatyzowano praktycznie wszystko co było można wprowadzając możliwie najniższe taryfy celne. A do tego system celny jest motywujący, przejrzysty i prosty.

Podatek w Estonii jest wysoki – wynosi 34, 5 % z czego 33 % płacą pracujący. 20 procent przeznaczają się na fundusz socjalny, a 13 procent na zabezpieczenie na przyszłość. Wzrost gospodarczy w Estonii w ubiegłym roku wyniósł 8, 5 %, a w pierwszym półroczu tego roku 11,8 %. Przy 1.360.000 mieszkańców dochód narodowy wynosił 9 mln euro czyli 6500 euro na głowę.

**Marek ZARADNIAK**  
fot. archiwum

# Pożegnanie

*prof. zwyczaj. dr. hab. Piotra Dobrowolskiego (1938 – 2005)*

**S**połeczność akademicka Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych poniosła niepowetowaną stratę. Szóstego sierpnia bieżącego roku zmarł profesor zwyczajny doktor habilitowany Piotr Dobrowolski, prorektor Wydziału Zamiejscowego w Katowicach.

Wывodzący się z ziemi radomskiej, życie osobiste i karierę naukową związał ze Śląskiem. Jako pracownik początkowo Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, następnie zaś Uniwersytetu Śląskiego, Profesor już od zarania swojej pracy dał się poznać jako wybitny znawca współczesnej historii międzynarodowej, zwłaszcza problematyki niemieckojęzycznej. Uczeń profesora Henryka Zielińskiego, doktorat obronił wprawdzie we Wrocławiu, gdzie wcześniej odbywał studia uniwersyteckie, jednak nagrodzona przez Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki praca traktowała o separatyzmie na Górnym Śląsku i w ziemi cieszyńskiej w okresie międzywojnia, zatem o obszarach, z którymi związał się już na stałe i których historią – w rozmaitych kontekstach historii współczesnej – niezmiennie się interesował.

Naturalną niejako kolejną rzeczą młody, lecz ceniony już pracownik naukowy związał swoje losy na stałe z Uniwersytetem Śląskim, przechodząc w tej uczelni kolejne szczeble kariery akademickiej i udzielając się aktywnie w pracy dydaktycznej ze studentami. Przekazywanie swoich doświadczeń młodzieży i pobudzanie słuchaczy do własnych twórczych poszukiwań, stanowiło jedną z najbardziej charakterystycznych cech Zmarłego uwidaczniającą się niemal do ostatnich chwil Jego pracowitego życia.

W trakcie z górą czterdziestu lat działalności w katowickiej uczelni, profesor Dobrowolski obok liczącego się w kraju i za granicą dorobku naukowo-badawczego odnotował znaczne sukcesy na polu dydaktyki. Wiele pracowników Instytutu Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego – którym kierował przez szereg lat – broniło prace magisterskie i doktorskie pod Jego naukową opie-

ką, dwie osoby zaś osiągnęły stanowiska profesorów tej uczelni. Znaczące było też miejsce Profesora Dobrowolskiego jako recenzenta szeregu przewodów profesorskich, habilitacyjnych i doktorskich przeprowadzanych w ramach Uniwersytetu Śląskiego i w innych uczelniach.

W Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych zajmował Zmarły wyjątkową pozycję i to niemal od pierwszych chwil jej istnienia. Współinicjator powołania Wydziału Zamiejscowego w Katowicach, z wielkim zaangażowaniem i konsekwencją tworzył zrębny studiów zawodowych na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna przyczyniając się do dynamicznego rozwoju placówki i ugruntowania jej pozycji w lokalnym środowisku akademickim.

Zasługą Profesora Dobrowolskiego stały się bliskie i niespotykane wcześniej w skali kraju kontakty pomiędzy uczelnią publiczną – Uniwersytetem Śląskim a niepaństwowym WSUS. Nade wszystko jednak okazał się po raz kolejny nie tylko znakomitym dydaktykiem, ale przede wszystkim prawdziwym opiekunem i przewodnikiem studentów. W czerwcu tego roku dzielił radość i satysfakcję pierwszych magistrów, którzy studia zawodowe w Katowicach uwieńczyli studiami uzupełniającymi w macierzystej uczelni w Poznaniu. Nikt wtedy nie przypuszczał, że gratuluje ostatnim swoim podopiecznym.

Konieczność rozstania z Profesorem boleśnie dotknęła całą społeczność WSUS. Odszedł nie tylko wybitny uczony, ceniony pedagog, popularny wśród młodzieży rektor. Przede wszystkim zabraknie człowieka wszystkim bliskiego, dla wszystkich życzliwego, umiającego słuchać i doradzać. Długo jeszcze naturalny odruch zwracania się do Profesora o pomoc i radę, impuls podzielenia się z nim własnymi przemyśleniami dla wielu stanowić będzie nawyk, który trudno zmienić. To zapewne najlepsze świadectwo niezwyklej roli, jaką Profesor odgrywał w życiu Szkoły. Takie straty powodują głębokie rany, które czas – cierpliwy lekarz opatrywać będzie i tak.

T.D.



# Podróż ku cieniom

W życiu zdarza się czasami stawać na rozstajnych drogach. Za sobą pozostawiamy strach, ból, żal po stracie i z wciąż niegasnącą nadzieją otwieramy się na sprawy nowe, na nadzieję i stabilizację. Nade wszystko jednak chcemy odpocząć od przeszłości - tej swojej, bolesnej nieraz sumy życiowych doświadczeń. W takich chwilach cofamy się pamięcią jeszcze głębiej, do magazynu dzieciństwa. Nie szukamy tam swojego obrazu z lat młodości. Raczej spotykamy się znów z osobami, które w swoim czasie wiele dla nas znały: z rodzicami, dziadkami, wychowawcami z najmłodszych lat. Cath, bohaterka „Podwodnego świata” wyrusza w taką właśnie podróż ku ceniom przeszłości.

Sue Miller, autorka tej mądrej i ważnej nie tylko dla generacji pięćdziesięciolatków książki jest pisarką zawodową. Oznacza to, że od lat obecna jest na rynku literackim i ceniona za dobrą, solidną klasykę obyczajową. Bohaterami, a i czytelnikami jej książek są ludzie dojrzały, posiadający swoją sumę bogatych i różnorodnych doświadczeń. Cath, dwukrotna rozwódka, matka trojga dorosłych dzieci należy niewątpliwie do osób, które stają wobec życia z podniesioną przyłbicą. Córką paranoicznej samobójczyni musiała w dorosłość wchodzić sama. Czy musiała rzeczywiście? Po latach bohaterka „Podwodnego świata” odkrywa, że odrzuciła pomoc bliskich nie starając się wychodzić im naprzeciw. Odnalezienie przypadkiem pamiętniki babki potwierdziły tylko prawdę, której części domyślała się już wcześniej. Dramaty, lzy, rozstania, dylematy małżeńskiej wierności dotyczyć mogą każdego, niezależnie od miejsca i czasu. Tajemnica babki, odkrywająca się stopniowo w miarę poznawania pamiętnika pozwala bohaterce „Podwodnego świata” zrozumieć i wybaczyć. Także sobie.

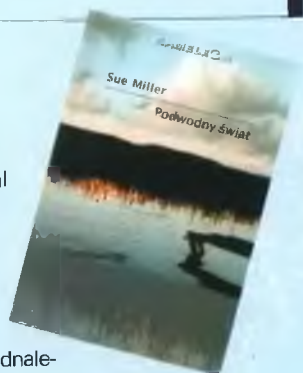
Sue Miller w swojej książce zwraca się ku amerykańskiej prowincji. Prowincja stanowi bowiem źródło inspiracji wielu twórców średniego dzisiaj pokolenia, których młodość przypadła na lata 60. i 70. ubiegłego wieku. Wejście w dojrzałość oznaczało dla tej generacji odrzucenie całego bagażu wyniesionych z domu przyzwyczajęń i wpajanych przez rodziców i wychowawców wartości. Dzisiaj domi-

nuje żal i poczucie winy, nierzadkie są próby powrotu do źródeł i odnalezienia okrucichw tożsamości.

Tak właśnie Sue Miller każe odnajdywać Cath przeszłość własną i swojej rodziny. I nawet jeśli poszukiwania te przynoszą rozgoryczenie a odkrywane tajemnice szokują, to jednak w ostatecznym rachunku taka uczuciowa podróż okazuje się najbardziej skuteczną terapią dla zestresowanej i zagubionej w czasie i meandrach swego nielatego dojrzewania bohaterki opowieści.

„Podwodny świat” stanowi ciekawe doświadczenie dla polskiego czytelnika, któremu druga połowa XX stulecia w USA ze zrozumiałych względów (wpływ „żelaznej kurtyny”) umyka. O pokoleniu „dzieci kwiatów” dowiedzieliśmy się w ostatnich latach sporo – wciąż jednak fascynują nas odniesienia ludzi, którzy z wielką wiarą i nadzieją budowali pokolenie zbuntowanych. Kuszą nas i pociągają ich zwierzenia, w których doszukujemy się odpowiedzi na pytanie, co stanowiło wówczas świadomy wybór młodości, co zaś normę kulturową, której wypadło się poddać, aby pozostać „trendy”. Cath nosi w sobie wprawdzie wiele cech osobowościowych Sue Miller, jest jednak „mądrsza” od autorki o wiele bardzo osobistych, po części traumatycznych nawet doznań. W chwili gdy ją poznajemy, pragnie przede wszystkim spokoju i powrotu wspomnień. Szuka ich podobnie jak podwodnego miasta, które pokazał jej przed laty dziadek. I nie przypadkiem było to ostatnie wspomnienie Cath z umykającego dzieciństwa. Do niego właśnie podświadomie starała się wrócić, od niego rozpocząć odbudowywanie, cementowanie życia. Czy jej się powiodło? Odpowiedź znajdziecie Państwo na kartach owej frapującej i ważnej nie tylko dla starszego pokolenia opowieści.

Tomasz DYMACEWSKI  
Sue Miller, *Podwodny świat*, Seria  
z Kameleonem, Poznań 2004



## *Absolutorium 2004/2005, inauguracja nowego roku akademickiego*

# Do zobaczenia i Dzień Dobry

W życiu każdej szkoły wyższej następuje czas, gdy studenci rozpoczynają w jej murach edukację i jako immatrykulowani członkowie akademickiej wspólnoty zyskują wszystkie towarzyszące ich statusowi przywileje, dotyczą ich również wszelkie studenckie obowiązki. Czas wykładów, sesji i zaliczeń kończy się ostatecznie wraz z obroną prac i uzyskaniem dyplomów. Specyfiką poznańskiego środowiska akademickiego jest szczególnie uroczysta oprawa zakończenia akademickiej edukacji czyli absolutorium, w innych uczelniach wyższych nie obchodzone w sposób tak dostojny. Tradycją Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych jest stosowne do okoliczności pożegnanie swoich absolwentów, czyli – uroczyste absolutorium właśnie. W roku akademickim 2004/2005 po raz pierwszy w Szkole odbyły się dwa absolutoria – magisterskie i licencjackie. Dzieliły je dwa tygodnie: pierwsi absolwenci z tytułem magistra kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna zostali pożegnani 11 czerwca w głównej hali (tzw. „Pod Iglicą”) Międzynarodowych Targów Poznańskich. Absolutorium licencjatów Zarządzania i Marketingu i Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej odbyło się w dwa tygodnie później, 25 czerwca w stylowym wnętrzu Teatru Wielkiego w Poznaniu. Choć obie uroczystości nieco różniły się w przebiegu – również i tym, że w gronie magistrów nie zabrakło absolwentów Wydziału Zamiejscowego w Katowicach – to jednak wzruszenie najbliższych za każdym razem było autentyczne, nieklamane i – co tu dużo ukrywać – potężne. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że uroczystości absolutoryjne mają na celu spotkanie wszystkich, którzy w trakcie studiów nie tylko uczyli młodych ludzi, ale także wspierali ich w chwilach trudnych i

dodawali ducha wówczas, gdy okazywało się to najbardziej potrzebne. Tak to właśnie ujmował w swoich wystąpieniach Jego Magnificencja, Rektor prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz w trakcie obu uroczystości. Także dla Rektora i Senatu, dla wszystkich pracowników Szkoły, absolutoria były świętem radosnym, okraszonym jednakże szczyptą nostalgii. Bowiem poza wszystkim był to czas pożegnań. Chwila, w której w swoich grupach młodzi ludzie spotykali się, w teorii przynajmniej, ostatni raz. Świadomość tego miał także JM Rektor, który w czasie swego wystąpienia podsunął myśl zawiązania Stowarzyszenia Absolwentów WSUS. Nie ulega wątpliwości, że liczne grono osób, które opuszczały mury Szkoły w latach poprzednich, i które rozstały się z nią w tym roku akademickim, mogłyby w sposób bardziej zorganizowany podjąć nawiązywane dotąd spontanicznie kontakty ze swoją Alma Mater. Jest więc nadzieja, że kwiaty, uściski, wymiana adresów, wreszcie pamiątkowe zdjęcie z Rektorem, Senatem, koleżankami i kolegami nie zamkną ostatecznie tego rozdziału życia, który wiązał się ze studiami w tej właśnie Uczelni. To dobra wiadomość przede wszystkim dla tych – a jest ich bardzo wielu – którzy chcą interesować się rozwojem WSUS nadal, i wciąż aktywnie uczestniczyć w jej życiu codziennym.

(dym)

A by pozostać w nostalgicznym i podniosłym zarazem nastroju, na łamach „Pegaza” przytaczamy wystąpienie, którym absolwenci Studiów Uzupełniających Magisterskich zegnali się z Uczelnią, jej władzami, z koleżankami i z kolegami. W sposób chyba najlepszy oddaje ono nastrój tych niezwykłych, jedyńych w swoim rodzaju chwil.



*Jego Magnificencjo Rektorze,  
Wysoki Senacie, Profesorowie,  
Nauczyciele akademicy  
Szanowni goście, Koleżanki i Koledzy*

Dzisiejszy dzień jest ważny dla Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych – dla Uczelni i dla nas – pierwszego rocznika, który opuści mury swojej Alma Mater z tytułem magistra.

Każdy z nas mógłby dziś opowiedzieć swoją historię związaną z dwoma latami spędzonymi w murach WSUS. Jednych te opowieści pewnie mogłyby wzruszyć, innych rozbawić, a innych może zasmucić. W sumie jednak można powiedzieć – to były dwa lata usłane różami.

Tak więc z tego miejsca pragnę podziękować tym, którzy towarzyszyli nam przez te dwa lata Studiów Uzupełniających Magisterskich, dzieląc z nami wzloty i upadki.

W imieniu własnym i moich koleżanek i kolegów dziękuję

władzom Uczelni – za to, że mogliśmy

podjąć studia magisterskie na uczelni, której próg większość z nas przekroczyła na przełomie wieków.

– Wam nasi drodzy Wykładowcy – za wiedzę i pasję z którą nam ją przekazywaliście.

– Promotorom – za cierpliwość, wskazywanie drogi i ciągle podnoszenie poprzeczki.

– Naszemu opiekunowi Ewie Torlop i pracownikom Dziekanatu – za pomoc w sprawach wagi nadzwyczajnej i tych zwykłych codziennych.

– Wszystkim pozostałym pracownikom Uczelni za całą Waszą pracę i wkład w dobro uczelni i braci studenckiej.

– Szczególne wyróżnienie i podziękowanie należy się Naszej Starościnie Agacie – za wyjątkowo silne nerwy i ogromne poczucie obowiązku.

– Dziękujemy też naszym najbliższym – za wyrozumiałość i wsparcie – w czasie naszej intensywnej edukacji, nierzadko dla nich dokuczliwej. Wierzmy, że tę chwilę przeżywacie z radością i dumą. Szybko zatem zapomnicie nam te gorsze dni - dla dobra wiedzy i nauki.





W ciągu tych dwóch lat wiele się wydarzyło – w świecie i w naszym życiu.

Z jaką wiedzą kończymy edukację? – my dzisiejsi absolwenci WSUS – specjaliści od Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej.

Czy będziemy potrafili wykorzystywać umiejętności z zakresu komunikowania społecznego, umiejętności, która jest szczególnie przydatna w życiu.

Stoiśmy tu w chwili pożegnania z mieszanymi uczuciami, radością, że już koniec i ze smutkiem, że to ostatnie chwile razem.

Może tu w takiej chwili warto wspomnieć o innych pożegnaniach, tych z ostatnich dwóch lat, które sprawiły, że dyskutowaliśmy o nich podczas zajęć, o ludziach, którzy byli nam bliscy z racji funkcji jaką pełnili w życiu społecznym i każdego z nas.

– 7 maja 2004 – usłyszeliśmy informację, która nas poruszyła, jeden z nas – dziennikarz – Waldemar Milewicz został zastrzelony na pierwszej linii frontu. Pojechał do Iraku by przybliżyć prawdę o tragicznym losie ludzi, jego cykl reportaży Dziwny jest ten świat! będzie dla przyszłych pokoleń dziennikarzy wzorem dbałości o losy zwykłych ludzi uwikłanych w działania wojenne.

– 2 kwietnia 2005 – świat obiegła inna wstrząsająca informacja „o 21.37 w swoich watykańskich apartamentach zmarł Jan Paweł II”, Papież, Polak, największy z nas i jednocześnie najbliższy. „Mimo cierpień i bólu często dodawał otuchy sobie, i słuchającym go ludziom”. Był dla nas darem, świadectwem, symbolem. Dowodem na to, że można przeżyć życie w pełni. Pamiętacie zapewne zajęcia zdominowane tym wydarzeniem? Nasze osobiste świadectwa?

Jego mądre słowa są dla nas przewodnikiem: „Jeśli chcesz znaleźć źródło musisz iść do góry, pod prąd”.

– Ten kwiecień był dla wielu z nas jeszcze jednym pożegnaniem. Nie medialnym, nie okrzykanym. Agata Królska-Radziej – nasza koleżanka pomimo swej choroby do ostatniej chwili uczestniczyła w zajęciach SUM. Udało się jej prawie całkowicie zaliczyć sesję zimową i to z bardzo dobrymi wynikami. Po krótkiej, ale bardzo wyczerpującej chorobie odeszła od nas – wspaniała, mądra, bardzo koleżeńska, młoda dziewczyna. Miała zaledwie 26 lat.

Wszystkie te wydarzenia tak bliskie i zarazem dojmujące, są przykładem, że rację miał Tadeusz Kotarbiński, gdy pisał „Nie jeden marnuje czas dany mu do przeżycia, ponieważ martwi się, że ma tego czasu tak mało”.

Nie wiemy ile czasu jeszcze przed nami. Wykorzystajmy nie tylko akademicki wykład, ale i lekcje jakie często otrzymujemy od życia i pomyślmy zanim zmarujemy choć jeden dany nam dzień.

A na koniec – cóż – może Owidiusza stosownie zacytować – *Finis coronat opus* – Koniec wieńczy dzieło.

Co pozostanie? Jestem przekonana, że WIEDZA i PRZYJAŹŃ.  
DZIĘKUJEMY i DO ZOBACZENIA!!!!

Wiesława KUBACZEWSKA  
i Anna NOWAKOWSKA  
Absolwentki WSUS SUM DiKS



# INAUGURACJA ROKU AKADEMICKIEGO 2005/2006



**A**kademickie wakacje przeminęły zda się, błyskawicznie i oto nastał czas kolejnej inauguracji roku akademickiego. Odeszli absolwenci, choć ze Szkołą nie rozstali się na zawsze: wciąż będą podtrzymywali z nią kontakt, tak jak to już w poprzednich latach bywało. Jednak inauguracja to przede wszystkim święto dla tych, którzy w mury Uczelni wkroczyli po raz pierwszy. To dla nich właśnie, zgodnie z tradycją, Teatr Wielki otwiera podwoje. Dla nich za prezydialnym stołem w uroczystych szatach zasiada prześwietny Senat. Dla nich to specjalnie luminarz nauki wygłasza wykład inauguracyjny. Wszystko to zgodnie z piękną, ugruntowaną już tradycją.

Rektor WSUS, prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz wita zgromadzonych: studentów i gości. W tej właśnie kolejności, albowiem inauguracja i uroczysta immatrykulacja to święto studentów właśnie; oni są najważniejsi, oni są bohaterami tego dnia. Jest też wystąpienie Rektora, jak co roku informacją o tym, co zdarzyło się ostatnio, i co się jeszcze niezadługo zdarzy

w Szkole. W przededniu ważnego jubileuszu, jakim dla WSUS będzie dziesięciolecie istnienia, mówca powraca raz jeszcze do trudnych początków, od których wszystko się zaczęło. I jak zwykle zauważa, ile w tych latach stało się rzeczy dobrych i ważnych i dla samej Uczelni, i dla jej studentów. Studenci słuchają z uwagą, po raz pierwszy bowiem mają okazję poznać bliżej dzieje akademii, która na najbliższe lata stanie się ich Alma Mater. Później Rektor berłem, którego waga fizyczna i gatunkowa jest przedmiotem corocznej ironii, dopełnia uroczystości zaliczenia nowych członków w poczet akademickiej wspólnoty. Wreszcie profesor Jan Miodek wygłaszając wykład inauguracyjny, nawiązuje do współczesnej polszczyzny, którą w coraz większym stopniu nasycą słownictwo informatyczne. Dla słuchaczy jest to nowe ukazanie problemu, z którym mając na co dzień do czynienia, jako rzeczy bynajmniej nieoczywistej. Po raz pierwszy słyszą, że można przecież inaczej, można lepiej...

I to już prawie wszystko. Nowy rok akademicki czas zacząć. Był czas pożegnań, przeminął czas powitań. Rozpoczyna się codzienny trud nauki i prezentowania nabytej wiedzy. Jak co roku...

**Tomasz DYMACZEWSKI**  
fot. archiwum, J. Kurcek

# Nie tylko dla uczelni

*Rozmowa z dr. Janem Andrzejem Nikischem prezesem Poznańskiej Fundacji Bibliotek Naukowych i prof. Mirosławem Górnym wiceprezesem tejże Fundacji*

## **Jak funkcjonuje Poznańska Fundacja Bibliotek Naukowych?**

Podstawowym zadaniem Fundacji była komputeryzacja bibliotek poznańskich uczelni. To zadanie zostało wykonane. Teraz chodzi przede wszystkim o utrzymanie całego systemu w ciągłym ruchu zarówno od strony informatycznej jak i organizacyjnej. Wiąże się to z wprowadzaniem nowych wersji oprogramowania, z usuwaniem drobnych awarii, ze współpracą z operatorem sieci miejskiej. Systemy biblioteczne obsługują ok. 100.000 użytkowników i pracują w trybie 7/24. Jeśli dojdzie do awarii to w żadnej z bibliotek akademickich nie będzie można wypożyczyć ani oddać książki, ani przejrzeć zawartości katalogów. Taką awarię miał niedawno Uniwersytet Jagielloński. Jego biblioteka była wtedy wyłączona przez 14 dni. My przez 10 lat tak poważnych kłopotów nie mieliśmy. Ale trzeba być na to przygotowanym. Chodzi o to, aby w razie wystąpienia jakiejś usterki system był tak ustawiony aby można było pracować dalej. Jeśli jeden serwer padnie, drugi przejmuje jego pracę. Tak było niedawno. Użytkownicy niczego nie zauważyli. Awaria została szybko usunięta.

## **Czy wszystkie wyższe uczelnie w Poznaniu przystąpiły do Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej, którą stworzyliście?**

Wszystkie państwowe.

## **A niepaństwowe?**

Nie.

## **Dlaczego?**

Sądzę, że są dwa powody ku temu. Po pierwsze dlatego, że trzeba mieć własną bibliotekę i w nią inwestować, a system nasz jest drogi. Nie wszystkie uczelnie byłoby stać na to. Po drugie rektorzy uczelni, założyciele Fundacji wymagaliby pewnie wejścia z jakimś wianem. Nie może korzystać z czegoś co było budowane przez 10 lat zupełnie za darmo.

## **Macie 100.000 użytkowników. Jak można korzystać z zasobów Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej?**

Jeśli chodzi o katalogi można przez internet wejść do nich w każdym miejscu na świecie. Można przeszukiwać nasze zbiory przez całą dobę. Liczba użytkowników wynika z tego, że są to praktycznie wszyscy użytkownicy bibliotek akademickich w Poznaniu, a także setki transakcji przeprowadzanych przez bibliotekarzy, którzy w tym czasie katalogują książki oraz tysiące dokonywanych równocześnie wypożyczeń i zwrotów.

## **Jak można wypożyczyć książkę w waszej bibliotece?**

Można sobie zarezerwować książkę przez internet, ale fizycznie trzeba ją już odebrać w bibliotece. Trzeba pamiętać, że książkę wypożycza konkretna biblioteka, a więc musi ona zapisać użytkownika, wydać mu kartę biblioteczną, czyli zgodzić się, aby dany użytkownik korzystał z jej zasobów. Fundacja nie może wpływać na statut danej biblioteki, bo to ona ustala własne przepisy i ma swój regulamin. Jedna



wypożycza osobom, które nie są studentami danej uczelni, a inna nie wypożycza. Na to nie mamy i nie chcemy mieć wpływu. Nas interesuje tylko sprawa techniczno-organizacyjna.

### **100.000 użytkowników, a jakie wielkie zbiory?**

Wszystkie biblioteki należące do fundacji mają razem skatalogowanych i dostępnych poprzez system komputerowy około 1 miliona pozycji.

### **Mówicie, że skoro weszły by do biblioteki uczelnie niepaństwowe wymagano by od nich wiana. Można się domyślać, że pieniędzy. A teraz kto finansuje fundację?**

Założyciele czyli uczelnie państwowe. Fundacja jest konsorcjum bibliotecznym. Uczestnicy płacą składkę, która zależy od wielkości księgozbioru, liczby studentów. To dość zróżnicowane. Mamy małe uczelnie jak Akademia Muzyczna i Akademia Sztuk Pięknych i potężny Uniwersytet. Trudno oczekiwać aby wszyscy płacili równo.

### **Jak się rozwijacie. Słyszałem, że sprzedajecie know how, aby gdzie indziej też powstawały biblioteki cyfrowe?**

Nie sprzedajemy. Udostępniamy bezpłatnie.

### **Dlaczego na tym nie zarabiacie? Przecież wiedzę powinno się sprzedawać?**

Zależy nam na tym, aby w przypadku regionalnych bibliotek cyfrowych pomysł był promowany i takie biblioteki powstawały,

bo jedynie sieć bibliotek może zapewnić dostęp do zasobów cyfrowych w skali całego kraju. Nie może być tak, że powstanie jedna, ogólnopolska biblioteka cyfrowa. Był taki pomysł rządu Millera, gdy z hukiem utworzono Polską Bibliotekę Cyfrową. Ona co prawda funkcjonuje ale nie tak jak powinna. Natomiast w regionach są rzeczy, których nie można znaleźć gdzie indziej i są specjaliści którzy te zbiory znają. Pomoce dydaktyczne, skrypty powstają przecież lokalnie. Zawsze powtarzam, że Krakowiaczy i Górale nie zrobią nam Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej i wice versa.

### **Jak się rozwijacie. Gdzie przekazaliście know how?**

Część działań Fundacji jest związanych z Wielkopolską Biblioteką Cyfrową. Jeśli chodzi o samą dLibrę czyli oprogramowanie, udostępniamy je za darmo (udostępnia je PCSS który stale nad nim pracuje) choć robimy wszystko, żeby jakieś pieniądze zdobyć, ale np. z Komitetu Badan Naukowych. Nie chcemy tych pieniędzy wyciągać od bibliotek. Uniwersytet w Toruniu zapłacił Poznańskiemu Centrum Superkomputerowo-Sieciowemu za uzyskanie oprogramowania, ale akurat otrzymał pieniądze na rozwój biblioteki cyfrowej i chciał w ten sposób wesprzeć naszą inicjatywę. W Toruniu powstaje Kujawsko-Pomorska Biblioteka Cyfrowa. Z dLibry korzysta także Politechnika Wrocławska. Na zasadzie testu biblioteki cyfrowe funkcjonują na Politechnikach Częstochowskiej, Białostockiej, Łódzkiej i Warszawskiej. Biblioteka cyfrowa rusza też na Uniwersytecie Zielonogórskim. Chce z nami współpracować. Są też działania mniejszych bibliotek jak Książnica Pedagogiczna w Kaliszu, która najprawdopodobniej będzie też korzystała z Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej. Mamy nadzieję, że wkrótce pojawią się kolejni partnerzy w Lesznie czy Ostrowie Wielkopolskim.

### **Niebawem odbędzie się w Poznaniu konferencja dotyczące między innymi bibliotek cyfrowych. A konkretnie?**

To pierwsza w Polsce, a zarazem pierwsza w Europie Środkowo-Wschodniej konferencja International Coalition of Library Consortia. Jej tematem będą sprawy dotyczące udostępniania informacji naukowej drogą elektroniczną. A więc kwestia cząstok naukowych w wersji elektronicz-



Od lewej dr Andrzej Nikisch i prof. Mirosław Górny

nej, książek elektronicznych, negocjacji z wydawnictwami, licencji. Staramy się włączać rzeczy związane z tak zwanym „Open Access” czyli udostępnianiem informacji nie w trybie komercyjnym.

**Jakie są dalsze plany Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej. Czy zamierzacie udostępniać książki w bibliotekach nie tylko w Polsce, ale i w świecie?**

Już udostępniamy. Jesteśmy polskim koordynatorem międzynarodowego programu Electronic Information For Libraries. Udostępniamy czasopisma dwóch dużych agregatorów Ebsco i ProQuest. Otrzymuje je ponad 100 bibliotek akademickich w Polsce. W jakimś stopniu zacznie dominować wszystko to co wiąże się z bibliotekami cyfrowymi. Nie oznacza to, że zejdzie na plan dalszy obsługa czytelników książek tradycyjnych, choćby z tego względu, że zbiory tradycyjne przeważają w takim stopniu, iż trudno sobie wyobrazić, by w najbliższych latach zostały zepchnięte na dalszy plan. Choć tendencji w kierunku książki elektronicznej, szczególnie podręczników nie da się uniknąć. Jest to szczególnie ważne w przypadku studentów zaocznych, którzy mogą je czytać u siebie w domu. A poza tym biblioteki mają wiele trudnodostępnych książek np. z XIX wieku. Staramy się dotrzeć do pozycji dotyczących małych miejscowości w Wielkopolsce. Niezwykle poszukiwane są książki adresowe. Ludzie szukają swoich przodków. Otrzymujemy wiele prośb, aby pomóc w ich przeszukiwaniu. Rozpoczęliśmy też współpracę z Archiwum Państwowym w Poznaniu.

**Co ona da?**

Archiwum już umieściło w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej zbiór 750 najstarszych dokumentów lokalnych Poznania. Nie wykluczone, że w najbliższym czasie trafią kolejne bardzo ciekawe dokumenty.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

Fot. M. ZARADNIAK

**Jakie dobre obyczaje wiążą się z nauką, z życiem na wyższej uczelni?**

Nauka jest tą dziedziną życia, która wymaga nie tylko wysokiego wskaźnika inteligencji i umiejętności będących rezultatem zdobytej i stale uzupełnianej wiedzy wraz z elementem iskry bożej, którą mają geniusze. Jednocześnie jednak wymaga wysokiej kultury i starannie respektowanej obyczajowości. Tej formy zewnętrznej z właściwym strojem. Od togi z biretem łączy się to jednocześnie z funkcjonowaniem szkół wyższych i rytualną formułą tradycyjnemu w szkołach przestrzeganą.

**Na czym ona polega?**

Łączy się z właściwym strojem gdzie dominują togi z biretami i akcesoriami władzy symbolizującymi tradycje uniwersyteckie, do zasad postępowania w ramach procedur awansowych, gdy młody adept nauki po studiach rozpoczyna działalność pod okiem swojego mistrza.

**Jaki model funkcjonowania dobrego obyczaju w nauce jest najlepszy?**

Oczywiście relacja mistrz - uczeń. Kształtowały ją dziesięciolecia, mistrz wychowywał uczniów, którzy nawet z czasem go przerastali. Mowa tu o przygotowywanych rozprawach doktorskich i dziełach wspólnych, a także rozprawach habilitacyjnych i książkach profesorskich stanowiących ukoronowanie całego procesu wzrostu naukowego uczonego. Szczególną formą docenienia wartości naukowej jest nadawanie doktoratów honoris causa, oraz niezwykle podniosłe uroczystości odnowienia doktoratu. Wszystkie elementy łączą się z pewną obyczajowością i pewnym protokołem. Przewiduje on w jakiej kolejności należy się kłaniać, w jakiej kolejności należy witać, podawać rękę i jak zwracać się do różnych uczonych.

**A jak w tym wszystkim ma się znaleźć student?**

Nasze uczelnie bardzo często zapominają o tej chronologii i procesie kształtowania właściwej postawy młodego człowieka wobec uczonych. A to przecież ta druga funkcja uczelni zwana wychowawczą.

## Pamiętaj o netykietce

**Współczesne życie studenta trudno wyobrazić sobie bez komputerów. Jakie dobre obyczaje obowiązują nas przy używaniu ich?**



# Uczelnia a obyczaj

W społeczeństwie informatycznym pojawił się niedawno termin netykieta, mówiący o dobrych obyczajach w posługiwaniu się łączami internetowymi. Co prawda bardzo wielu młodych ludzi o tym pojęciu nigdy nie słyszało i nie bardzo zdaje sobie sprawę, że komputer jako szczególnego typu łączność dostępna praktycznie dla wszystkich wymaga również szczególnej grzeczności. Niestety ponieważ netykieta jest traktowana jako coś szczególnego nie jest wykładana w większości szkół informatycznych, ani też nie jest egzekwowana przez ludzi, którzy uczestniczą w informatycznej wymianie myśli.

**Potwierdzeniem tego jest nieraz bardzo wulgarny język komentarzy internautów?**

Tak. To bardzo poważny błąd, który skutkuje tym, że wystarczy włączyć się w jakikolwiek chat, albo zobaczyć komentarze w Wirtualnej Polsce i człowiekowi włos się jeży na głowie, bo nie tylko chodzi o słownictwo i gramatykę, ale sposób reagowania na wydarzenia czy na ludzi. Jest on czasem tak prymitywny i tak uwłaczający godności inteligentnego człowieka, że trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś kto zasiada przy pulpicie komputera posługuje się takim językiem dysponując jednocześnie wiedzą techniczną udostępniającą mu tę wielką sieć. Trudno zrozumieć, że może być tak niekulturalnym i prymitywnym człowiekiem.

**Co w takim razie robić by sytuacja się zmieniła?**

W przypadku kształcenia społeczeństwa informatycznego na netykietę trzeba kłaść szczególny nacisk. Uważam, że każde szkolenie komputerowe i informatyczne powinno się od tego zaczynać i powinien być z tego egzekwowany niezwykle surowy egzamin, aby uczestnicy czatu i różnych innych kontaktów internetowych wiedzieli w jaki sposób odstają od normalności.

## Budowanie autorytetu

**Dobre obyczaje na uczelni wiążą się także z poszukiwaniem autorytetu. Jan Paweł II był niekwestionowanym autorytetem, ale kto tak naprawdę może zyskać miano autorytetu szczególnie wśród ludzi młodych?**

Autorytet wynika z dwóch zupełnie różnych płaszczyzn. Po pierwsze jest związany z osobowością, dokonaniem i miejscem życiowym tego kto autorytetem jest bądź się staje. Autorytetem nie jest się od urodzenia. Autorytetem staje się w wyniku określonych działań, dokonań. To jest spojrzenie na autorytet od strony personalistycznej. Autorytetem może stać się ten kto przez swoje zachowanie staje się nie tylko wzorcem do naśladowania, ale zyskuje poważanie. Druga płaszczyzna to wychowanie młodych ludzi w poszanowaniu i poszukiwaniu autorytetów. Może być ktoś święty i nadzwyczaj ceniony ze względu na wartości, a jednocześnie nie dostrzegany przez otoczenie. Z drugiej strony społeczeństwo może niszczyć autorytety bądź próbować je eliminować.

**U nas też pojawiały się poglądy, że poza Papieżem nie mamy w Polsce autorytetów.**

Rodzi się więc kwestia czy to tylko zasługa Papieża. A może wynika to z tego, że w społeczeństwie polskim w wychowaniu młodego pokolenia zbyt małą wagę odgrywały autorytety rodziców, nauczycieli, wychowawcy, osoby, która może kształtować ich świadomość i zachowanie. Stąd myślę, że ta ogromna lekcja, jaką otrzymaliśmy dzięki naszemu Papieżowi pozwoli na odbudowywanie innych autorytetów.

**Jaka jest różnica między autorytetem, a charyzmą. Nie każdy przecież kto ma autorytet ma charyzmę?**

W płaszczyźnie religijnej z pewnością to jest najważniejsze. Natomiast autorytet w szkole, na boisku czy w pracy to nieko-



niecznie charyzma. To zaufanie, wiarygodność i odpowiedzialność. Jeżeli osoba z autorytetem budzi zaufanie, jest wiarygodna i potrafi ponosić odpowiedzialność za innych to jest właściwą osobą do kształtowania postaw, a więc może być autorytetem dla swojego mikrośrodowiska.

## Mieć charyzmę

**Bliska autorytetowi jest charyzma. Czym różnią się te dwa pojęcia od siebie?**

Bardzo często charyzma i autorytet idą w parze, ale nie są to pojęcia tożsame, albowiem jak swego czasu wyjaśnialiśmy autorytet jest splotem bardzo wielu elementów składających się na osobowość człowieka, którego nim obdarzamy. Człowieka, który dla nas staje się autorytetem. Natomiast charyzma łączy się przede wszystkim z poczuciem misji i pewną umiejętnością przekazywania tej misji, tych umiejętności otoczeniu. A więc upraszczając charyzmatycznym przywódcą jest ten, kto potrafi natchnąć duchem, swoim myśleniem i przekonać, że jest to myślenie najwłaściwsze.

**Ale przecież charyzmą obdarzeni są zarówno ludzie pozytywni jak i negatywni?**

Łączy się to z tym, że ludzie zaczynają wierzyć w tę postać. Ona staje się przewodnikiem stada. Dlatego gdy używamy pojęcia charyzmatyczny przywódca możemy mieć do czynienia zarówno z pozytywnym jak i negatywnym jego przypadkiem. Różnego typu grupy pozytywnie nie kojarzące się miały takich przywódców. Nasuwa się tutaj słynna sprawa Charlesa Mansona, który dla tej grupy był charyzmatycznym przywódcą.

**Bardzo często o charyzmatycznych postaciach mówimy w przypadku mody młodzieżowej, zwłaszcza muzycznej. Wymieńmy choćby Johna Lennona czy Micka Jaggera**

Idol muzyczny staje się pewnym symbolem nie tylko ze względu na zachowanie, ubiór, styl życia, ale i niczym nie uzasadnioną wiarę, że jest to właściwy przewodnik. Bo charyzma łączy się z poczuciem przewodnictwa, pokazywania drogi. To emocjonalne zabarwienie autorytetu. Może iść w parze z autorytetem, ale wcale nie musi.

## Kwalifikacje i umiejętności

**Rozstrzygnijmy jeszcze jedną kwestię. Skoro mamy w Polsce zarówno uczelnie państwowe jak i prywatne czy mamy w naszym kraju do czynienia ze szkołami elitarnymi?**

Oczywiście są szkoły elitarne. Wymienia je się jako pierwsze w rankingach krajowych jak Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Warszawski, Politechnika Warszawska, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego czy Szkoła Główna Handlowa. Jeśli patrzymy na rankingi międzynarodowe uczelnie te nie plasują się wśród szkół elitarnych co wywołuje różne komentarze w kraju i za granicą. Mówi się ciągle, że to są nasze lokalne uczelnie, ale nasza społeczność traktuje je jako elitarne.

**Na czym polega ta elitarność?**

Na tym, że uczelnie te dysponują nie tylko tradycją, ale i znakomitą kadrą, wielkimi doświadczeniami i kontaktami międzynarodowymi. Kształcą na poziomie gwarantującym w większości przypadków pracę. To są elementy przesądzające o elitarności.

**Czy uczelnie niepaństwowe są w stanie stać się uczelniami elitarnymi?**

W systemie brytyjskim czy amerykańskim elitarne są właśnie szkoły niepaństwowe. Szkoły państwowe traktowane są tam jako te słabsze. Ale to inna tradycja, inny model kształcenia i inne pieniądze, które stoją za tą tradycją. W Polsce dojdzie do takiej sytuacji, iż szkoły niepaństwowe będą znajdowały się w rankingu na przykład przed Uniwersytetem Warszawskim trudno sobie wyobrazić. Mimo to jest w Polsce kilka szkół niepaństwowych, które mają wyraźnie wiodący charakter. Myślę tu o Wyższej Szkole Humanistycznej w Puławach, o Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie czy Wyższej Szkole Biznesu National Louis University w Nowym Sączu. Ta ostatnia ma określone kontakty amerykańskie dające jej bardzo dużą siłę przebicia na rynku edukacji.

**Na czym jeszcze powinna polegać elitarność?**

Na tym, że kształci się w małych grupach, w wąskich specjalnościach. Kształci się często specjalistów indywidualnych przygotowanych do bardzo szczególnych zadań. Tego typu elitarność wiąże się z wyższymi kosztami kształcenia, z innym modelem kształcenia i taki model elitarno-

ści nie budzi sprzeciwu. Oznacza bowiem, że absolwent takiej szkoły daje gwarancję nie tylko wysokiej kwalifikacji, ale również pewnych sprawdzonych umiejętności. Tak postępuje wiele niedużych szkół w tym również szkoła, którą reprezentuję.

**Młody człowiek kończy wyższą uczelnię i szuka pracy. Wtedy często słyszy – owszem szukamy młodych, ale z doświadczeniem. Jak wtedy powinien się zachować?**

Pierwsza praca jest zawsze czymś wyjątkowym, bo zmienia się cały tryb życia. Młody człowiek, który do tej pory uczył się zdawał egzaminy, bronił pracy magisterskiej lub licencjackiej funkcjonował w zupełnie innej rzeczywistości, w innym rygorze działania. Przystawienie się na określony rytm związany z wykonywaniem pracy powoduje pewien stres. Wiąże się on z rozmową kwalifikacyjną, o której niejednokrotnie mówiliśmy, a która powinna być odpowiednio prowadzona zarówno przez osobę zatrudniającą jak i odpowiednio przygotowaną przez samego kandydata do pracy. Proces przygotowywania powinien być realizowany nie w ciągu jednego czy dwóch miesięcy, ale znacznie wcześniej. Stąd na wielu kierunkach studiów przygotowuje się młodych ludzi do tego w jaki sposób mają się zaprezentować jak napisać c.v. choć rodzi się pytanie dlaczego tak nazywać, pismo które przygotowujemy dla pracodawcy. Nazwa c.v nie oddaje tego o co chodzi. Bowiem o zwyczajny, profesjonalny życiorys, najistotniejsze fakty z życia. Po co więc używać wyrazów łacińskich.

**Jak powinno wyglądać przygotowanie do tej rozmowy?**

Przygotowanie młodego człowieka do tej rozmowy powinno składać się z dwóch warstw. Jedna to gesty i mimika. To co nazywamy mową ciała, a co wiąże się z wyglądem, uczesaniem, uźębieniem, uśmiechem. Jeśli w szkołach wyższych odbywają się takie zajęcia to tak jak w naszej szkole młodzi ludzie bardzo chętnie w tym uczestniczą, bo jest w tym element teatru. Druga warstwa to przygotowanie merytoryczne. Nie można używać takich słów jak: postaram się, chciałbym. Wszystko musi być w formie dokonanej, a gdy czegoś nie jesteśmy pewni to w takiej rozmowie nie możemy tego okazać. Musimy sprzedać się jak najlepiej. odpowiedzieć na

*Jeśli mają Państwo sugestie do „Szkoły dobrych manier” prosimy kierować je na adres: [zaradniak@poczta.gp.pl](mailto:zaradniak@poczta.gp.pl)*

pytanie, ale bardzo wiele zależy od tego jak potoczy się nurt rozmowy

**Czy ta pierwsza praca jest zawsze właściwie, wybrana?**

Nie do końca. Czasami trafiamy zupełnie przypadkowo, niezgodnie z własnym wykształceniem i zamiłowaniem, ale ta pierwsza praca pozostanie zawsze pierwszym doświadczeniem związanym ze zmianą rytmu życia, a łączyć się powinna docelowo z tym, że robię to co umiem robię to co lubię i wreszcie mam z tego pieniądze. Jeśli zbiegają się te trzy elementy możemy powiedzieć, że praca została wybrana najwłaściwiej.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

## Inicjatywa V LO Zagrali dla Weroniki



Weronika ma dwa lata i traci wzrok. Jej siostra chodzi do V Liceum Ogólnokształcącego im. Klaudivy Potockiej w Poznaniu. Dlatego uczniowie tej szkoły postanowili jej pomóc. W Centrum Handlowym M1 zorganizowali koncert charytatywny zatytułowany „Szeroko spoglądaj na świat”. Udział w nim wzięły szkolne zespoły Infecto, Riposta, Satori, Peggy Sue i P.K.B. a także gwiazdy „Lombard” i „Dreamland”. Koncert był jednym z rezultatów porozumienia o współpracy zawartego pomiędzy V Liceum Ogólnokształcącym, Radiem Merkury i Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych. MAZ

Fot. S. Siewior

# Poznań i Katowice w jednym stały domu...

**J**ak to możliwe, aby dwa wielkie miasta zmieściły się razem w jednym domu? Pozornie nierealne stało się możliwe po prostu dlatego, że na umówione spotkanie zebrał się studenci Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych z Poznania i Katowic. Było to wydarzenie bez precedensu dla studentów z obu miast, bowiem powszednie kontakty nie bywają naoczne. Jak wiadomo studia to przede wszystkim wykłady, ćwiczenia, egzaminy i zaliczenia. W piątkowe popołudnie 20 maja, kiedy pospieszny z Katowic wwiózł na poznański Dworzec Główny silną reprezentację Wydziału Zamiejscowego WSUS w Katowicach, na ustach wszystkich było tylko jedno słowo: „Integracja!“. Taka była zresztą oficjalna nazwa wydarzenia: „Integracja 2005. Poznań – Katowice“.

Po powitaniu w gmachu przy Głogowskiej 26 przez JM Rektora, Prorektora, Panią Kanderz i Dziekanów i rozbudzeniu sportowego ducha, reprezentacja Katowic rozegrała z poznaniakami mecz piłki nożnej. Zarówno to spotkanie, jak i sobotnie mecze w Dopiewie (siatkówka i koszykówka) zakończyły się zwycięstwem gospodarzy. Goście z Katowic reprezentujący dziennikarstwo i nauki społeczne wykazali się nie lada taktem, nie wychodząc przed Wielkopolan. Najważniejsze jednak, że zarówno w czasie sportowych zmagania, czy też przy prawie wojskowej grochówce panowała wspólna atmosfera. Ustalono, że kolejna, wielkopolsko – śląska integracja już za rok.

(dym)  
fot. archiwum







# Wystawa na Akademickim Szlaku

Szczególnym miejscem nazwał hol Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych dziekan Wydziału Edukacji Artystycznej poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych Jacek Jagielski przedstawiając koncepcję i układ przestrzenny wystawy, którą 6 maja bieżącego roku w siedzibie Szkoły uroczystość zainaugurowali rektorzy obu uczelni: Michał Iwaszkiewicz i Wojciech Müller. Obok Starego Browaru i Starej Rzeźni, WSUS jest kolejnym miejscem – poza gmachem Akademii – gdzie w pokoleniowej symbiozie współuczestniczyły w tworzeniu artystycznej przestrzeni dokonania profesorów ASP i ich studentów. Ekspozycja przyniosła szeroki ogląd koncepcji i technik od „klasycznych” obrazów po film fabularny poprzez niemal pełne spectrum kompozycji przestrzennych. Szczególną cechą wspólnej propozycji obu szkół wyższych był fakt, iż zaimprovizowana w holu WSUS przy ulicy Głogowskiej przestrzeń wystawowa umykała wszelkim próbom klasyfikacji jako zinstytucjonalizowana galeria. Profesor Joanna Imielska – kustosz wystawy – przez kilka dni stała się w siedzibie WSUS osobą tyleż popularną, co i niezbędną. Na czas montowania eks-

pozycji objęła rządy niemal absolutne i trzeba obiektywnie przyznać – efekt ostateczny wynagrodził żmudne godziny, w trakcie których komponowano przestrzeń, jak się okazało, pomimo bardzo dobrego oświetlenia, wcale niełatwą do zagospodarowania. Ekspozycja nie miała stałych godzin prezentacji, biletów wstępu, a w znacznej swojej części była dostępna i co za tym idzie – podatna na uszkodzenia. Nic takiego się nie stało – wystawa przetrwała w stanie nienaruszonym towarzysząc na codzień studentom i to w tak niewralgicznym dla Szkoły czasie jak zaliczenia i egzaminy sesji letniej, a także obrona prac licencjackich i magisterskich. Rzec można – sztuka stała się katalizatorem skupienia, tłem dla dyskusji, a w trudnych chwilach także dla „wkuwania”. Przestrzeń wystawowa bardzo szybko wrosła w codzienność WSUS spełniając w ten sposób przesłanie twórców wystawy – znalazła się blisko życia. Po tym pierwszym doświadczeniu przyjęto, że obrazy, rzeźby i inne formy artystycznej wypowiedzi zagospozą już tu na stałe. Ku obopólnej satysfakcji – twórców i studentów WSUS.

Tomasz DYMACZEWSKI

# Możliwości i wartości

*O otwartej niedawno w gmachu WSUS wystawie, a na jej kanwie szerzej o sztuce i niektórych jej aspektach – „Pegaz” rozmawia z prof. Jackiem Jagielskim, dziekanem Wydziału Edukacji Artystycznej Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu*

**Panie Profesorze. Akademia Sztuk Pięknych i Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych po zawarciu porozumienia o współpracy udokumentowały ją konkretnymi działaniami. Nowy rok akademicki zainaugurowała kolejna już wystawa prac powstałych w Akademii. Czym różni się ona od pierwszej, którą mogliśmy podziwiać od maja?**

Współpraca nawiązana pomiędzy Wydziałem Edukacji Artystycznej Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu a Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych ogromnie mnie cieszy – szczególnie fakt, że nabiera ona rozmachu i zaczyna rozciągać coraz to szersze kręgi. Dowodem tego są nasze wspólne przedsięwzięcia i inicjatywy, pośród których są te, już dokonane jak i kolejne wspólnie planowane. Myślę tu o działaniach, do których zaliczyć należy wspomnianą przez Pana wystawę, która jako pierwsza prezentowała postawy twórcze profesorów, pedagogów i studentów naszego wydziału, a także prezentację obecną. Ta niedawno otwarta, ukazująca przez wybrane prace dyplomowe indywidualną kreatywność naszych studentów jest jednocześnie pokazem zawierającym w innym niż uprzednio wymiarze rezultaty wspólnej pracy studentów-dyplomantów i prowadzących ich profesorów.

**Praca dyplomowa – tak jak się ją definiuje w uczelniach wyższych – stanowi sumę dokonań obrazujących wiedzę, jaką student zyskuje w murach swojej uczelni w toku nauki. Jest to zarazem owoc wrodzonych i nabytych umiejętności. Siłą rzeczy na kształt ostateczny wywiera wpływ opiekun, mentor, pod którego kierunkiem praca powstaje. Czy w wypadku dyplomów studentów ASP ta akademicka reguła znajduje potwierdzenie?**

Na pewno wiele z przytoczonych przez Pana elementów i aspektów pracy akademickiej występuje i jest zawarte w dyplomach naszych studentów, lecz wykraczają

one poza te, które realizowane są na innych uczelniach a często także na innych wydziałach ASP. Różnica między innymi polega na tym, że prócz pracy pisemnej o charakterze uniwersyteckim studenci Wydziału Edukacji Artystycznej realizują równolegle prace plastyczne w wybranej przez siebie dyscyplinie artystycznej. Prezentują je w formie indywidualnej wystawy czy pokazu, stanowiących integralną część pracy dyplomowej. Innymi słowy student broni dyplomu w dwóch zakresach. Zakres artystyczny jest realizowany pod opieką promotora, a wybór dyscypliny artystycznej, oraz konkretnej pracowni jest indywidualnym wyborem każdego studenta, zaś temat pracy teoretycznej uzgadnia i dalej konsultuje z prowadzącym go w tym zakresie promotorem. Dlatego też na naszym wydziale dyplomy realizowane są w różnorodnych dyscyplinach artystycznych, dostępnych naszym dyplomantom na uczelni. Z drugiej strony poruszają w części teoretycznej szerokie spektrum problemów i zagadnień w obrębie kultury, sztuki, edukacji... i nie tylko.

**Poprosiłbym teraz o szerszą refleksję. Może nawet zbyt szeroką, zbyt osobistą... Pytam jednak nie tylko artystę, ale i pedagoga. Zatem – jak w Pańskiej ocenie współczesna sztuka pojmuje swoją misję? Na ile otwiera się na tak zwany „szeroki kontakt społeczny”? Czy otwiera się na pełen dialog, dyskusję, burzliwe rozprawy, czy też zabiera w niej głos bardziej kameralnie, wyznaczając obszary, kierunki rozważań?**

Na to pytanie trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Sztuka, z którą spotykamy się w chwili obecnej jest bardzo zróżnicowana. Odwołuje się często do innych obszarów, kierowana jest do różnych odbiorców -nie można jej zamknąć jednoznaczną definicją czy prognozą. Bywa cicha, spokojna, refleksyjna, ale także agresywna, szokująca, nachalnie wkradająca się w obszary życia i aktywności człowieka, polemizując z nimi w



różny sposób. Sądzę jednakże, że każdy jest w stanie znaleźć w niej coś, z czym będzie mógł się identyfikować. Zależy to jednak nie tylko od twórcy- artysty, ale także od postawy odbiorcy, od jego gotowości, dojrzałości i potrzeb. Dialog, dyskusja, rozważania i refleksja o sztuce towarzyszyły jej zawsze i jest tak nadal. Sądzę, że w różny sposób i w odmiennym stopniu zaangażowania my w tym procesie uczestniczymy, a nasi studenci w szczególnie interesujący sposób. Obcując z nimi, w prowadzonych pracowniach, mamy możliwość zaobserwować, w jaki sposób młodzi ludzie postrzegają otaczającą nas rzeczywistość. Należy „wsluchać” się w indywidualną interpretację studenta – w różnorodność jego doświadczeń, penetracji artystycznych i interpretacji świata. Może właśnie oni będą kształtować przyszłość sztuki – jej zakres i refleksję o niej. Być może właśnie w ich kreacjach dojrzymy „to”, czego oczekujemy, z czym podejmimy dialog. Może odpowiedzi na te lub inne, nowe pytania są pośród prac plastycznych prezentowanych na wystawie „Dyplomy 2005” mającej miejsce w gmachu WSUS.

**Współpraca uczelni wyższych – państwowych i niepaństwowych – nie stanowi niczego osobliwego – tak jak to się postrzegało jeszcze do niedawna. Niewątpliwie WSUS i ASP wspólne przedsięwzięcia zainaugurowały z powodzeniem, o czym świadczy zainteresowanie wernisażami w budynku przy ulicy Głogowskiej. Jest zatem przestrzeń ekspozycyjna, na której Akademia już odciśnęła swoje wyraźne piętno. To jednak jeden z obszarów współpracy. Czy mógłby Pan powiedzieć także o innych?**

Trudno mówić o wszystkich planach i zamierzeniach, stawianych w bliższej czy dalszej perspektywie. Najważniejsze, aby współpraca między naszymi uczelniami stwarzała wszystkim nowe możliwości a szczególnie pomagała w samorealizacji naszym studentom. Studenci Wydziału Edukacji Artystycznej poznańskiej ASP obok

uzdolnień plastycznych często świetnie władają piórem. To między innymi dla nich znajdzie się miejsce na łamach gazety studenckiej „Łoża” wydawanej przez WSUS. Uważam, że może to być wspaniały moment integracji myśli studentów naszych uczelni. W planach jest wspólne redagowanie zeszytu naukowego poświęconego kulturze, sztuce i edukacji. Będą, być może kontynuowane wystawy w gmachu waszej uczelni – otwarcie tej następnej przewidywane jest w styczniu 2006. Na pewno nadal będziemy wspólnie uczestniczyć w Poznańskim Festiwalu Nauki i Sztuki, w którym mój Wydział uczestniczy od wielu lat i w ramach którego jest prezentowana obecna wystawa. Plany nasze wykraczają obecnie poza bezpośrednie obszary obu uczelni, a może i kraju, ale o tym jeszcze za wcześniej by mówić.

**Na koniec prosiłbym nie o ocenę stanu kompetencji kulturowej społeczeństwa – nie jesteśmy przecież socjologami – ile raczej o rodzaj diagnozy. Jak dotąd aktywny udział w życiu kulturalnym, a tym samym w percepcji sztuki, bierze udział jedynie znikomy procent szeroko pojmowanej populacji. Stan ten trwa bez większych zmian od kilkunastu lat. W jakim kierunku powinniśmy posuwać się, aby te niekorzystne zjawiska zmienić? Jaka rola przypadnie w udziale porozumieniom takim, jakie zawarły obie uczelnie wyższe?**

Nie siłowałbym się na stawianie diagnoz. Bardziej interesuje mnie stwarzanie nowych możliwości dla twórczej ekspresji i zarazem percepcji wszystkim tym, dla których kultura i sztuka stanowią wartości znaczące w życiu. Sądzę, że tylko różnorodne wydarzenia artystyczne – tak akty spektakularne jak i te kameralne zjawiska w sztuce mogą wpływać na istniejący stan rzeczy i przez wielorakość przekazów pozyskać coraz to większe grono ludzi myślących podobnymi kategoriami. Między innymi temu służy współpraca między Wydziałem Edukacji Artystycznej Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, a Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych, której skutkiem, mam nadzieję, będzie postrzeganie znaczenia sztuki, kultury i twórczości oraz angażowania się do uczestnictwa w nich.

**Podzielając Pańską nadzieję i wiarę, że tak właśnie się stanie, dziękuję za rozmowę.**



# Wystawy wystawy...

**P**owodzenie pierwszej wystawy w holu WSUS, zainteresowanie, jakie towarzyszyło prezentacji prac, wywołało niemal natychmiastowy oddźwięk. Zapadła decyzja, by nie zwlekając, przygotować nową ekspozycję, która uświetniłaby rozpoczynający się rok akademicki. I tak się też stało, otwarcie nowego wspólnego przedsięwzięcia ASP i WSUS dokonało się w sobotę, 1 października 2005 roku.

Wystawa ta różni się od swojej poprzedniczki. O ile w pierwszej odsłonie uczestniczyli na równi wykładowcy i studenci artystycznej uczelni, tym razem podziwiać możemy prace samych studentów. Myliby się jednak ten, kto przypuszcza, że nad holem WSUS nie unosi się duch ich nauczycieli. Są to przecież prace dyplomowe powstałe nie tylko pod kierunkiem, ale i pod wpływem twórczej inspiracji nauczycieli i mentorów młodych ludzi, którzy wytyczają dopiero swoją artystyczną drogę. Dziekan Jacek Jagielski wprowadzając gości wernisażu w świat form i różnorodnych treści przekazu, które obrazują najlepiej – w opinii kuratorów wystawy – bogactwo poszukiwań i artystycznych prób, nie krył satysfakcji, a nawet dumy z poczynąń generacji, która wyrusza na podbój artystycznego świata. Podkreślał różnorodność, a zarazem świeżość oceny rzeczywistości, wyraził satysfakcję z drapieżności oglądu, która cechuje większość spośród młodych artystów. Jest to pokolenie, którego wkład w życie artystyczne warto obserwować, ma ono bowiem wiele cech generacji szczególnie uzdolnionej i jak rzadko kiedy wrażliwej na otoczenie.

Wystawa, podobnie jak poprzednia, wypełnia przestrzeń ekspozycyjną holu WSUS współuczestnicząc w życiu powszednim Szkoły. Ekspozyty nie chowają się za szkło, nie szukają azylu w bezpiecznych ramach gablot. Są obecne na każdym kroku i nie tylko w przestrzeni holu, ale także i na klatce schodowej. Przemawiają, objaśniają, nakłaniają do refleksji. Rzeczywistość poprzez nie ukazana nie jest rzecz jasna powszedniością, jednak z wielką przenikliwością sprawy codzienne komentuje i stara się przekazać jej złożone mechanizmy. To solidny kęs życia, który warto podziwiać i przed którym warto przystanąć w zadumie.

Tomasz DYMACEWSKI

**C**zwarty listopada 2005 roku. W Sali Senatu Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych zgromadzili się nieomal w komplecie ludzie najważniejsi dla wielkopolskiego bibliotekarstwa. Ta wzorцова frekwencja miała określone powody. Wymieńmy najważniejsze. Po pierwsze – inauguracja nowego kierunku nauczania – Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa. W zaproponowanym i zaakceptowanym do nauczania układzie, nie ma on swoich odpowiedników w kraju. Wiedzieli o tym i potrafili to docenić zgromadzeni w siedzibie WSUS goście.

Drugą przyczyną, dla której załudniła się Sala Posiedzeń Senatu Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych był osobisty udział w spotkaniu Michała Jagiello, dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie. Przygotował on wystąpienie o roli i miejscu bibliotek publicznych w istniejących uwarunkowaniach. Uwarunkowaniach administracyjnych, społecznych, kulturowych. Goście spotkania z zainteresowaniem oczekiwali tej wypowiedzi. Było sprawą oczywistą, że mówca nie przedstawi antidotum na szereg problemów, z jakimi borykają się bibliotekarze na co dzień, nie będzie nawet przekazywał słów pocieszenia i zachęty. Tego nie oczekują ludzie, którzy od dawna znają sytuację czytelnictwa, stykają się z jej różnorodnymi aspektami niemal na każdym kroku swojej trudnej i odpowiedzialnej pracy. Zgromadzeni przybyli do siedziby WSUS przede wszystkim dla dyskusji, wymiany poglądów. Swoją działalność bibliotekarze postrzegają jako misję, której efektu nie da się przeszacować w dane statystyczne dotyczące liczby czytelników i ilości wypożyczanych książek. Toczą twardą i nieustępliwą walkę o każdego, kto chce czytać, o każdego, kto rad by poszerzyć posiadaną wiedzę. W niełatwych czasach, gdy w domowym budżecie pozycje przeznaczone na wydatki kulturalne znikają coraz częściej, otwarte szeroko drzwi najbliższej biblioteki są niejednokrotnie jedyną przepustką do świata wiedzy. Nie tylko dla dzieci, nie tylko dla młodzieży. Także dla dorosłych i dojrzałych, cieka-

# Wystawy wystawy...

**P**owodzenie pierwszej wystawy w holu WSUS, zainteresowanie, jakie towarzyszyło prezentacji prac, wywołało niemal natychmiastowy oddźwięk. Zapadła decyzja, by nie zwlekając, przygotować nową ekspozycję, która uświetniłaby rozpoczynający się rok akademicki. I tak się też stało, otwarcie nowego wspólnego przedsięwzięcia ASP i WSUS dokonało się w sobotę, 1 października 2005 roku.

Wystawa ta różni się od swojej poprzedniczki. O ile w pierwszej odsłonie uczestniczyli na równi wykładowcy i studenci artystycznej uczelni, tym razem podziwiać możemy prace samych studentów. Myliłby się jednak ten, kto przypuszcza, że nad holem WSUS nie unosi się duch ich nauczycieli. Są to przecież prace dyplomowe powstałe nie tylko pod kierunkiem, ale i pod wpływem twórczej inspiracji nauczycieli i mentorów młodych ludzi, którzy wytyczają dopiero swoją artystyczną drogę. Dziekan Jacek Jagielski wprowadzając gości wernisażu w świat form i różnorodnych treści przekazu, które obrazują najlepiej – w opinii kuratorów wystawy – bogactwo poszukiwań i artystycznych prób, nie krył satysfakcji, a nawet dumy z poczynąń generacji, która wyrusza na podbój artystycznego świata. Podkreślał różnorodność, a zarazem świeżość oceny rzeczywistości, wyraził satysfakcję z drapieżności oglądu, która cechuje większość spośród młodych artystów. Jest to pokolenie, którego wkład w życie artystyczne warto obserwować, ma ono bowiem wiele cech generacji szczególnie uzdolnionej i jak rzadko kiedy wrażliwej na otoczenie.

Wystawa, podobnie jak poprzednia, wypełnia przestrzeń ekspozycyjną holu WSUS współuczestnicząc w życiu powszednim Szkoły. Ekspozyty nie chowają się za szkło, nie szukają azylu w bezpiecznych ramach gablot. Są obecne na każdym kroku i nie tylko w przestrzeni holu, ale także i na klatce schodowej. Przemawiają, objaśniają, nakłaniają do refleksji. Rzeczywistość poprzez nie ukazana nie jest rzecz jasna powszedniością, jednak z wielką przenikliwością sprawy codzienne komentuje i stara się przekazać jej złożone mechanizmy. To solidny kęs życia, który warto podziwiać i przed którym warto przystanąć w zadumie.

Tomasz DYMACZEWSKI

**C**zwarty listopada 2005 roku. W Sali Senatu Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych zgromadzili się nieomal w komplecie ludzie najważniejsi dla wielkopolskiego bibliotekarstwa. Ta wzorowa frekwencja miała określone powody. Wymieńmy najważniejsze. Po pierwsze – inauguracja nowego kierunku nauczania – Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa. W zaproponowanym i zaakceptowanym do nauczania układzie, nie ma on swoich odpowiedników w kraju. Wiedzieli o tym i potrafili to docenić zgromadzeni w siedzibie WSUS goście.

Drugą przyczyną, dla której załudniła się Sala Posiedzeń Senatu Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych był osobisty udział w spotkaniu Michała Jagiełły, dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie. Przygotował on wystąpienie o roli i miejscu bibliotek publicznych w istniejących uwarunkowaniach. Uwarunkowaniach administracyjnych, społecznych, kulturowych. Goście spotkania z zainteresowaniem oczekiwali tej wypowiedzi. Było sprawą oczywistą, że mówca nie przedstawi antidotum na szereg problemów, z jakimi borykają się bibliotekarze na co dzień, nie będzie nawet przekazywał słów pocieszenia i zachęty. Tego nie oczekują ludzie, którzy od dawna znają sytuację czytelnictwa, stykają się z jej różnorodnymi aspektami niemal na każdym kroku swojej trudnej i odpowiedzialnej pracy. Zgromadzeni przybyli do siedziby WSUS przede wszystkim dla dyskusji, wymiany poglądów. Swoją działalność bibliotekarze postrzegają jako misję, której efektu nie da się przeszacować w dane statystyczne dotyczące liczby czytelników i ilości wypożyczanych książek. Toczą twardą i nieustępliwą walkę o każdego, kto chce czytać, o każdego, kto rad by poszerzyć posiadaną wiedzę. W niełatwych czasach, gdy w domowym budżecie pozycje przeznaczone na wydatki kulturalne znikają coraz częściej, otwarte szeroko drzwi najbliższej biblioteki są niejednokrotnie jedyną przepustką do świata wiedzy. Nie tylko dla dzieci, nie tylko dla młodzieży. Także dla dorosłych i dojrzałych, cieka-

# Rzecz o domach otwartych

wych świata. Dyrektor Jagiello wiedząc o tym doskonale, do tych spraw w trakcie swego wystąpienia odniósł się niejednokrotnie.

Jak wygląda sytuacja bibliotek i czytelnictwa w kraju? Otóż w roku 1998, po przywróceniu trójstopniowego podziału administracyjnego państwa, po wzmocnieniu i rozbudowaniu samorządów, zrekonstruowana powinna być również sieć bibliotek. Niektóre z nich utraciły status bibliotek wojewódzkich, inne były budowane od podstaw jako jednostki samorządu powiatowego. Takie przemiany strukturalne sieci bibliotek publicznych rozpoczęły się w roku 1999 i w zasadzie trwają po dziś dzień. Nie wszystkie bowiem samorządy powiatów zorganizowały biblioteki publiczne. Jak dotąd, biblioteki powiatowe powstały w mniej niż 80% jednostek samorządowych, a niektóre spośród nich realizują nałożone na siebie zadania jedynie w ograniczonym zakresie. Niekorzystnie wpływa to zarówno na oczekiwane rozwiązania systemowe, jak i na komputeryzację bibliotek.

Z roku na rok liczba bibliotek publicznych i punktów bibliotecznych maleje. Wprawdzie tempo tego procesu uległo w ciągu czterech ostatnich lat spowolnieniu, nie zmienia to jednak faktu, że w porównaniu do okresu sprzed roku 1989, ubyło ponad 15% ogólnej ilości bibliotek. Nadto, wiele spośród nadal istniejących placówek nie ma bytu samodzielnego, stanowiąc mniej lub bardziej niezależny element większej całości (fuzje z bibliotekami szkolnymi, włączanie w struktury organizacyjne Domów Kultury, a nawet integrowanie w ramy struktur organizacyjnych administracji samorządowej). Intencja wprowadzania takich rozwiązań jest oczywista - kryterium nadrzędnym jest minimalizacja kosztów utrzymania poszczególnych bibliotek.



**Michał Jagiello** – absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, pisarz, autor opracowań historycznoliterackich, esejów z historii idei, prozy artystycznej i literatury faktu. Taternik, alpinista, ratownik górski związany z GOPR i TOPR. Były wiceminister kultury i sztuki, od czerwca 1998 dyrektor Biblioteki Narodowej, przewodniczący Krajowej Rady Bibliotecznej.

Jak zauważył dyrektor Jagiello w trakcie wystąpienia, interesy samorządów nie pokrywają się w tym wypadku z nadziejami i oczekiwaniami czytelników, w istniejącej obecnie sytuacji nie ma jednak rozwiązań alternatywnych.

Biblioteka Narodowa stara się minimalizować za pomocą rozmaitych sposobów tak niekorzystne tendencje. Jednym ze sposobów jest zacieśnienie współpracy z bibliotekami wojewódzkimi w całym kraju. Dyrekcja Biblioteki Narodowej



wychodzi z założenia, że w skali województwa te właśnie placówki najlepiej orientują się w skali potrzeb poszczególnych powiatów i gmin i potrafią różnicować pomoc pod kątem niezbędności zaspokajania potrzeb.

Biblioteka Narodowa starała się także w minionym okresie przyjść z pomocą w zakresie komputeryzacji i udostępniania programów bibliotecznych. Program MAK, będący produktem Biblioteki Narodowej wysuwa się na czoło, spośród wszystkich stosowanych w bibliotekach publicznych. Niestety, w tej właśnie dziedzinie dyrektor Jagiello musiał przekazać złe wiadomości: w ramach warsztatu twórcy program MAK nie będzie dalej rozwijany. W tej sytuacji otworzyć się musi dyskusja o tym, który spośród pozostałych programów dostępnych na rynku zajmie miejsce MAKa i ostatecznie przyczyni się do kompleksowej komputeryzacji bibliotek.

Dobłą wiadomością, jaką miał do przekazania zebranym w siedzibie WSUS dyrektor Jagiello był wzrost zasobów bibliotecznych. W roku 2004, dzięki dotacji Ministerstwa Kultury, zbiory bibliotek publicznych zwiększyły się, a zarazem unowocześniły. Przyrost zakupów książek osiągnął w roku 2004 54% w stosunku do roku poprzedniego. Przyrost ten był w rzeczywistości jeszcze wyższy, skoro 3% wyniosły nieuniknione ubytki księgozbiorów. Dlatego też starania resortu kultury o poprawienie dramatycznej sytuacji księgozbioru przyniosły uchwytyny wymiar, co jeszcze raz godzi się podkreślić. Tendencje spadkowe w zakresie zakupu nowych pozycji i uzupełniania księgozbiorów trwały poprzednio nieprzerwanie od roku 1996. Odnosnie notowanego od lat kilkunastu spadku ilości wypożyczeń, dyrektor Jagiello zwrócił uwagę, iż biblioteki publiczne służą przede wszystkim ludziom młodym, odpowiadając na ich potrzeby informacyjne i edukacyjne, a także ludziom mieszkającym w ośrodkach miejskich, co wiąże się z kolei z rozwojem szkolnictwa wyższego. Zestawienia statystyczne wskazują, że czytelnictwo w minionych kilku latach zmieniło się szczególnie w kategoriach do 15 lat i od 16 do 24 lat, co wiąże się z nierzadko demograficznym z jednej strony i z rozwojem sieci Internetowej, która w coraz większym stopniu jest w stanie realizować niektóre oczekiwania w zakresie

pozyskiwania poszukiwanych pozycji książkowych. Nie bez znaczenia jest i to, że wymogi edukacyjne (języki, doskonalenie zawodowe, zdobywanie nowego wykształcenia lub specjalizacji) przesuwają się na coraz starsze roczniki. A właśnie w starszych grupach wiekowych biblioteki publiczne odnotowały w ostatnim okresie wzrost wypożyczeń.

Podsumowując swoje wystąpienie, dyrektor Biblioteki Narodowej raz jeszcze nawiązał do zmian w strukturze sieci bibliotek publicznych, którą przyniosła reforma administracyjna z roku 1998. Stwierdził, że trójstopniowa struktura daje szanse na bliższą merytoryczną współpracę w obrębie bibliotek, odbudowę biblioteki powiatowej jako instytucji koordynującej, inspirowanej, wspomagającej przy założeniu wypracowania nowej formuły organizacyjnej i merytorycznej biblioteki publicznej stopnia powiatowego. Istotną kwestią wiążącą się z poprzednią jest powstrzymanie spadku liczby bibliotek publicznych, ich filii i placówek bibliotecznych. Istnieją bowiem obawy, iż niektóre biblioteki ulegną likwidacji, pomimo zapisu Ustawy o bibliotekach, która wyraźnie stanowi, iż gmina organizuje i prowadzi co najmniej jedną bibliotekę publiczną. Konsekwencje zubawiania sieci bibliotek odczuwają zarówno mieszkańcy miast, wzrosła bowiem liczebność rejonu obsługiwanego przez jedną placówkę, jak wsi, gdy lokalna biblioteka ulegnie likwidacji.

Nieznaczny wprawdzie, acz zauważalny spadek liczby wypożyczeń, jest wyraźnym sygnałem, że biblioteki powinny stać się bardziej atrakcyjne dla czytelników, i to zarówno pod kątem komputeryzacji i informatycznego udostępniania zasobu, jak i zwiększenia liczby atrakcyjnych i nowych pozycji. Dyrektor Jagiello ma nadzieję, że dotacja Ministerstwa Kultury w roku 2004 nie była aktem odosobnionym i również w latach następnych będzie można liczyć na wsparcie z tej strony. Zdaniem Michała Jagielly będzie to znaczne wsparcie dla idei, której powinny pozostać wierne wszystkie biblioteki – być domem zawsze otwartym dla swoich czytelników.

**Tomasz DYMACEWSKI**

# Goya w Poznaniu!

*Takiej gratki dla miłośników dobrej sztuki dawno w Poznaniu nie było. Prawie sto grafik Francisco Goya y Lucientes (1746-1828) można było oglądać w poznańskim CK „Zamek”. Prezentowane prace pochodziły z dwóch cykli: „Kaprysy” i „Przysłowia”, uważanych za najbardziej tajemnicze w twórczości tego wybitnego i niezwykłego artysty.*

Grafiki rzadko wyjeżdżają z krakowskiego Muzeum Narodowego, w którego zbiorach się znajdują, rzadko są też prezentowane publicznie, bo niezwykle łatwo je zniszczyć. Oba cykle należą jednak do najwybitniejszych dzieł nie tylko Goyi, ale do najwybitniejszych osiągnięć grafiki w ogóle.

„Kaprysy” są wśród nich najbardziej znanym cyklem prac. Zawiera 80 rycin i jest – jak się powszechnie uważa – bardzo zjadliwą, choć subtelną satyrą na obyczaje społeczne i polityczne ówczesnej Hiszpanii. Sam artysta twierdził, że chciał napiętnować amoralność, chciwość i okrucieństwo, a przede wszystkim głupotę rządzących. Uczynił to w sposób, który jak uważał, najlepiej przemówi do współczesnych – i trzeba przyznać, że do dziś „Kaprysy” potrafią wstrząsnąć widzami, a intencje ich twórcy są równie czytelne jak ponad 200 lat temu. Degeneracja i rozwiązłość, głupota i bezmyślność – to niestety, nadal całkiem aktualne zjawiska wśród przedstawicieli władzy. Jakiegokolwiek.

Cykl „Przysłowia” jest kontynuacją „Kaprysów” i kolejną satyrą, mającą przedstawiać szaleństwa ludzi. Jego nazwa wzięła się z próby powiązania ich z konkretnymi przysłowiami hiszpańskimi. Próba nie do końca się powiodła – zresztą do dziś jest to cykl budzący najwięcej wątpliwości i kontrowersji przy interpretacji. Wersja przyjęta przez większość historyków sztuki wiąże jego powstanie z ciężką chorobą, którą przeszedł malarz. To ona miała być źródłem niepokojów i rozterek artysty, który przetworzył je na niezwykle grafiki, przedstawiające świat z pogranicza jawy i snu, pełen oderwanych wątków



i niespójnych postaci, jak to bywa we śnie, pełen niedomówień i tajemniczości oraz grozy wyglądającej z każdego kąta... Suggestywność twórcy jest niesamowita, a straszny świat odmalowany jego mistrzowskim piórem – przeraża, ale i skłania do zastanowienia. Choćby więc tylko dlatego wystawa okazała się wydarzeniem wartym obejrzenia... i zastanowienia

Lilia ŁADA  
Fot. CK „Zamek”

# Goya w Poznaniu!

*Takiej gratki dla miłośników dobrej sztuki dawno w Poznaniu nie było. Prawie sto grafik Francisco Goya y Lucientes (1746-1828) można było oglądać w poznańskim CK „Zamek”. Prezentowane prace pochodziły z dwóch cykli: „Kaprysy” i „Przysłowia”, uważanych za najbardziej tajemnicze w twórczości tego wybitnego i niezwykłego artysty.*

Grafiki rzadko wyjeżdżają z krakowskiego Muzeum Narodowego, w którego zbiorach się znajdują, rzadko są też prezentowane publicznie, bo niezwykle łatwo je zniszczyć. Oba cykle należą jednak do najwybitniejszych dzieł nie tylko Goyi, ale do najwybitniejszych osiągnięć grafiki w ogóle.

„Kaprysy” są wśród nich najbardziej znanym cyklem prac. Zawiera 80 rycin i jest – jak się powszechnie uważa – bardzo zjadliwą, choć subtelną satyrą na obyczaje społeczne i polityczne ówczesnej Hiszpanii. Sam artysta twierdził, że chciał napiętnować amoralność, chciwość i okrucieństwo, a przede wszystkim głupotę rządzących. Uczynił to w sposób, który jak uważał, najlepiej przemówi do współczesnych – i trzeba przyznać, że do dziś „Kaprysy” potrafią wstrząsnąć widzami, a intencje ich twórcy są równie czytelne jak ponad 200 lat temu. Degeneracja i rozwiązłość, głupota i bezmyślność – to niestety, nadal całkiem aktualne zjawiska wśród przedstawicieli władzy. Jakiegokolwiek.

Cykl „Przysłowia” jest kontynuacją „Kaprysów” i kolejną satyrą, mającą przedstawiać szaleństwa ludzi. Jego nazwa wzięła się z próby powiązania ich z konkretnymi przysłowiami hiszpańskimi. Próba nie do końca się powiodła – zresztą do dziś jest to cykl budzący najwięcej wątpliwości i kontrowersji przy interpretacji. Wersja przyjęta przez większość historyków sztuki wiąże jego powstanie z ciężką chorobą, którą przeszedł malarz. To ona miała być źródłem niepokojów i rozterek artysty, który przetworzył je na niezwykle grafiki, przedstawiające świat z pogranicza jawy i snu, pełen oderwanych wątków



i niespójnych postaci, jak to bywa we śnie, pełen niedomówień i tajemniczości oraz grozy wyglądającej z każdego kąta... Sugestywność twórcy jest niesamowita, a straszny świat odmalowany jego mistrzowskim piórem – przeraża, ale i skłania do zastanowienia. Choćby więc tylko dlatego wystawa okazała się wydarzeniem wartym obejrzenia... i zastanowienia

Lilia ŁADA  
Fot. CK „Zamek”



# Walory szachów częścią strategii Szkoły

## Rozmowa z Jackiem Wodą – dyrektorem WSUS

**Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu niemal od początku swego istnienia angażuje się w promowanie szachów. Dlaczego?**

Rzeczywiście od lat współpracujemy z Wielkopolskim Związkiem Szachowym. To część strategii Szkoły. Zarówno ja osobiście, jak i inni członkowie kierownictwa WSUS, jesteśmy bowiem przekonani, że umiejętności, które rozwijają szachy mogą być przydatne studentom naszej Uczelni, tak w trakcie procesu dydaktycznego, jak i w późniejszej pracy zawodowej. Przecież szachy, jak chyba żadna inna dyscyplina sportu, kształtują zdolności logicznego, strategicznego i taktycznego myślenia, oraz umiejętność przewidywania. Pozwalają również lepiej poznać samego siebie, uczą wytrwałości i konsekwencji w dążeniu do celu. To cechy, które przydają się w życiu każdego człowieka. Dlatego staramy się je przekazywać naszym studentom, a promowanie szachów sprzyja realizacji tego celu.

**W czym konkretnie przejawia się współpraca z Wielkopolskim Związkiem Szachowym?**

Na początku wyrażała się ona we współorganizowaniu razem z Wielkopolskim Związkiem Szachowym Międzynarodowego Turnieju Szachowego, największej imprezy

szachowej w Poznaniu i całym regionie. Rozgrywki odbywają się w pomieszczeniach naszej Uczelni.

W minionym sezonie ligowym WSUS objęła patronatem występujących wówczas w II lidze szachistów Błękitnego Expressu Lech Poznań, którzy swe mecze rozgrywają w głównym budynku Szkoły, a na każdych zawodach grają w koszulkach z logo Szkoły.

W głównej siedzibie WSUS dwa razy w miesiącu odbywają się również rozgrywki w ramach już XIII cyklu turniejów błyskawicznych GRAND PRIX 2005 poświęcone pamięci Ryszarda Wojtkowiaka. Po XVI turniejach na czele klasyfikacji znajdował się Tomasz Stróżyk (Błękitny Express Lech Poznań) - 299,5 pkt., który wyprzedzał swego klubowego kolegę Marcina Bernata - 279,5 pkt. oraz Wojciecha Olejarczyka (Hetman Nowe Miasto Lubawskie) - 26B pkt. Natomiast drużyna Lecha Błękitnego Expressu Lech Poznań (seniorzy) w zakończonych niedawno rozgrywkach liczącej 33 drużyny II-ligi zajęła trzecią lokatę i w ładnym stylu powróciła do krajowej elity. Ostatni wyjazd ekipy na rozgrywki mistrzowskie możliwy był zresztą dzięki staraniom naszej Uczelni.

**Jakie wymierne korzyści mają z tego studenci WSUS?**



Nie sposób mówić tu o konkretach, jestem jednak przekonany, że możliwość bezpośredniego kontaktu z zawodnikami wpływa na wzrost zainteresowania szachami w gronie studentów, a co za tym idzie - także na upowszechnianie wartości, o których mówiłem na początku. Od pewnego czasu Szkoła dwa razy w tygodniu prowadzi też cykliczną pracę z młodzieżą akademicką w zakresie nauki gry w szachy. W roli nauczycieli występują nieodpłatnie szachiści Błękitnego Expressu Lech.

**Czy Uczelnia ma dalsze plany związane z promowaniem szachów, a jeśli tak to jakich spodziewa się efektów?**

Już w najbliższym czasie zamierzamy powołać do życia Młodzieżową Ligę Szachową dla uczniów szkół średnich. Jej rozgrywki odbywać się będą w siedzibie WSUS, co - mam nadzieję - przyczyni się do wzrostu zainteresowania tej młodzieży naszą placówką i zaowocuje podjęciem przez jej część studiów w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych.

W planach długofalowych mamy natomiast współpracę przy organizacji największej imprezy szachowej jaka kiedykolwiek odbyła się w Polsce - Olimpiady Szachowej w roku 2010, której gospodarzem miałby być Poznań.

Starania o przyznanie Poznaniowi Olimpiady już się zresztą rozpoczęły. 22 sierpnia w Dreźnie odbyła się pierwsza

prezentacja kandydatów i właśnie stolica Wielkopolski wydaje się mieć największe szanse, choć konkurenci - Budva (Serbia i Czarnogóra) argentyńskie St. Louis oraz szwedzki Goeteborg z pewnością nie złożyą broni. W Niemczech delegacja Poznania, w której skład wchodził prezes Wielkopolskiego Związku Szachowego Janusz Woda, prezydent Strefy Wschodnioeuropejskiej FIDE (Międzynarodowej Federacji Szachowej) dr Andrzej Filipowicz, wiceprezydent Poznania Maciej Frankiewicz oraz wiceprzewodniczący Rady Miasta dr Dariusz Lipiński zaprezentowała między innymi materiał reklamowy przy realizacji którego korzystano z sal WSUS i w którym wystąpili gracze Błękitnego Expressu Lech. Już samo to stanowi - moim zdaniem - promocję Szkoły.

A tak wielka impreza, gdyby rzeczywiście odbywała się w Poznaniu (rozgrywki planowane są na terenach MTP i być może również w salach WSUS) z pewnością przyczyni się do rozślawienia naszej Uczelni. W wielu aspektach promowania szachów jesteśmy dopiero na początku drogi, jestem jednak przekonany, że realizacja przyjętej strategii przyniesie korzyści zarówno Szkole, jak i jej studentom.

Rozmawiał: Krzysztof MACIEJEWSKI





*Puste ścieżki wokół Malty, niewiele osób na Starym Rynku, poza miłośnikami kawiarnianych ogródków – tak wyglądał pierwszy dzień wielkiego kulturalnego wydarzenia na skalę podobno światową – Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Malta 2005 w Poznaniu. Jak na światowe wydarzenie – to chyba nie najlepiej... Czy nie czas zapytać o sens i przyszłość tego festiwalu?*

W tym roku Malta odbyła się już po raz piątnasty, a piętnaście festiwali teatralnych w kraju, gdzie od lat oszczędza się na kulturze, to już jest coś. Zwłaszcza że są to festiwale międzynarodowe, co w praktyce oznacza – droższe. Jednak czy to wystarczy? Nie wystarczy.

## Co było, a nie jest...

Malta miała być festiwalem prezentującym spontaniczny, uliczny teatr, czyli ten, który jest najbardziej aktualną i bliską przeciętnemu człowiekowi reakcją na rzeczywistość, który wychodzi do ludzi z różnych względów nie zaglądających do sal teatralnych. Na przykład z braku pieniędzy. Miała być szansą dla tych młodych artystów, którym tradycyjny spektakl nie wystarcza, którzy chcą poszerzyć ramy swojego i cudzego poznania i zrobić coś, na co w sali nie ma miejsca i przestrzeni – albo na co nie ma pieniędzy. Ten w zamierzeniu wyjątkowy festiwal powstał po to, aby stworzyć w

Polsce scenę dla dokonania takich właśnie teatrów: pozarepertuarowych, off-owych, z pogranicza teatru i cyrku, teatru i tańca, teatru i koncertu. Przez kilka lat udawało się wspaniale. Miasto żyło Malta, a pragmatyczni, powściągliwi poznaniacy, którzy podobno są na kulturę odporni, rozchwytywali informacje o wszystkich spektaklach dziejących się w mieście i z zachwytem tropili uliczne widowiska, nawet jeśli za ich przyczyną dramatycznie wzrastały korki w mieście. Teatr nagle stał się czymś bliskim i niezbędnym do życia w mieście słynącym dotąd tylko z dokonania gospodarczych. Nagle okazało się, że ekonomiczna stolica Polski jest też prawdziwym zagłębiem teatralnym, tu powstały Strefa Ciszy, Porywacze Ciał, Usta Usta. I zadebiutowały na Malcie. A pamiętacie szalony taksówkowy spektakl Generik Vapeur z '98 roku? A hiszpańską La Fura dels Baus? A Teatro Nucleo z Włoch? A kilkakrotnie przyjazd Teatru Derevo z Rosji? A słynny koncert Gorana Bregovicia? To były spektakle, na które



przychodziły i przyjeżdżały tłumy. Malta się nie odbywała w Poznaniu, nią się tutaj żyło i oddychało, była organicznym elementem atmosfery miasta. Była. A teraz?

## Nie widać, nie słysząc, nie czuć...

Przede wszystkim Malty nie widać. Z roku na rok spektakle są coraz konsekwentniej ograniczane do przestrzeni zamkniętych, zostały obileutowane i ograniczone. Z rozległych przestrzeni, gdzie miejskie i nadmaltańskie pejzaże same w sobie stanowiły niezwykłą scenografię, a spektakl nabierał dodatkowych wymiarów festiwal przeniesiono do dusznych, ciasnych sal, gdzie mogła wejść tylko ograniczona liczba widzów, odbierając równie ograniczone ścianami doznania. Do tego doszły z roku na rok coraz wyższe koszty biletów, co z punktu wyeliminowało na przykład młodzież. Dla studenta czasami nawet 5 złotych jest poważnym wydatkiem... Poza tym zamknięta w czterech ścianach Malta czym się różni od „zwykłego” sezonu teatralnego w „zwykłych” teatrach? I publiczność zaczęła odwiedzać festiwal dokładnie tak jak teatry – rzadko i niechętnie, co szczególnie było widać w tym roku. Ale najgorsze jest to, że ci, którzy nie przyszli – nie mają czego żałować. Program nie zachwycał i – jak na Malcie – był wręcz żenująco zwyczajny. Od inaugurującego



spektaklu cyrku Ocelot począwszy poprzez „III Sympathy for the Devil” teatru Usta Usta i „Kim jest ten człowiek we krwi” Biura Podróży. Wydarzeniem festiwalu miała być „The Qatsi-

Trilogy”, reklamowana jako europejska premiera. I była, ale jednocześnie nie da się nie przyznać, że przynajmniej połowę jej trochę staroświeckiego uroku stanowił fakt, iż była prezentowana pod gołym niebem, a to dodało jej przestrzeni, i wyrazu, i kolorytu...

## Bez Offeusza

Ostatecznym sygnałem, że z Malta jest coś nie tak było nie przyznanie w tym roku Offeusza.

– Przez 10 dni szukaliśmy teatru, który nas zaskoczy, zadziwi i poruszy, podobalo nam się kilka spektakli, ale żaden nie zaskoczył nas nowatorskim podejściem do sztuki, komentarzem rzeczywistości. Tegoroczne spektakle dzieliły się na ładne, nudne i niezbyt mądre. Za ładne dziękujemy, ale to wszystko – powiedziała PAP członkini jury Offeusza Ewa Obrębowska-Piasecka. I trudno lepiej podsumować tegoroczny festiwal. Więc – dokąd idziesz, Malto?

Lilia ŁADA



# National Geographic na „Zamku”



*Pierwsze zdjęcia zatopionego „Titanica”.*

*Pierwsze fotografie zagubionego w Andach Machu Picchu. Zobaczyć te miejsca oczami ich odkrywców to naprawdę gratka nie lada – zwłaszcza że nie trafia się zbyt często. Bo wprawdzie i o słynnym statku, i o słynnym zaginionym mieście nakręcono już dziesiątki filmów i zrobiono tysiące zdjęć – to jednak nic nie może się równać z tym pierwszym spojrzeniem zachwyconego odkrywcy. A taka możliwość daje nam kolejna wystawa z cyklu „Wyprawy na krańce świata” National Geographic. Można ją było oglądać w poznańskim Centrum Kultury „Zamek” w kwietniu.*

To już piąta ekspozycja National Geographic z cyklu „Wielkie wystawy” i chyba najbardziej ekscytująca. W końcu opowiada o poszukiwaniu – i znajdowaniu – skarbów. Czy jest coś bardziej romantycznego i pobudzającego wyobraźnię? Dla zdoby-

bicia tych skarbów ich odkrywcy przemierzali tropikalne dżungle, mordercze pustynie i góry, a nawet – jak kapitan Jacques Cousteau, pionier badań morskich – podwodne głębiny oceanów. Odkrywali niezna-

ne cywilizacje, osławiali nieokielznaną przyrodę i zachwycaли się nieznanym dotąd pięknem natury. I – na szczęście dla nas – wszystko to uwiecznili na fotografiach. Te kawałki kolorowego lub czarno-białego papieru są bezcennym źródłem wiedzy nie tylko o trasie wypraw czy trudach, jakie znosili podróżnicy. To także zapisane i utrwalone pierwsze wrażenia i pierwsze chwile odkryć, a tego nie są w stanie oddać żadne słowa...

My, Polacy, mamy swoje miejsce wśród wielkich odkrywców, a na wystawie polskiemu wątkowi został poświęcony oddzielny fragment ekspozycji. Zwiedzający mogli na przykład po raz pierwszy zobaczyć zdjęcia dokumentujące odkrycie przez polską wyprawę wraku liniowca „Steuben”, na którym zginęło ponad 4,5 tysiąca osób pod koniec II Wojny Światowej. To mało znany fragment historii wojny – a jeszcze mniej, jeśli chodzi o udział Polaków w wielkich odkryciach. Cóż, cała wystawa okazała się doskonałym dowodem na to, że nawet to, co wydawałoby się, dobrze znane, może jeszcze skrywać wiele tajemnic...

Lilia ŁADA

fot. archiwum CK Zamek



# W służbie ojczyzny małej i dużej

*„Pegaz” rozmawia z Lechosławem Majchrzakiem,  
prezesem Zarządu Stowarzyszenia Prasy Lokalnej  
w Polsce*

**Został Pan - w grudniu ubiegłego roku - ponownie wybrany Prezesem. Wraz z Panem akceptację członków Stowarzyszenia nyskała większość składu osobowego Zarządu poprzedniej kadencji. To może oznaczać albo popularność i skuteczność, albo marazm i stagnację. Zatem?**

Dokładniej, to już trzecia kadencja tego zarządu i mojego prezesowania. Sądzę, że gdybyśmy osiedli na laurach i uprawiali kontemplację własnych osiągnięć, nie szukałby Pan okazji do rozmowy ze mną. Zdzi-

wiony? Cóż, muszę tak sprawę postawić, ostatecznie umiejętność kreacji własnego wizerunku to rzecz niezbędna w pracy każdego dziennikarza. Co powoduje, że grzęźniemy w marazmie? Lenistwo, ale i niewiedza, niepewność, brak dostatecznej wiary we własne umiejętności. Nie chciałbym pośądzenia o stronniczość postrzegania, jednak z przekonaniem twierdzę, że nasze Stowarzyszenie skupia ludzi aktywnych, zaangażowanych w swoje działania, i – co nie na ostatnim miejscu – utalentowanych, wrażliwych i wzajemnie życzliwych.



Na promie POLONIA – kapitan zaprosił dziennikarzy na mostek kapitański, który okazał się nafaszerowaną elektroniką obszerną fabryką





Dziennikarze SPL przed Uniwersyterem w Lund

**Czy zalicza się Pan do zwolenników tezy, że „dziennikarzem trzeba się urodzić”?**

Nie ja pierwszy ubolewam, że człowiek rodzi się nie tylko goły, ale i czysty jak nie zapisana tablica. Większość umiejętności nabywa się drogą długotrwałych, czasami bolesnych doświadczeń. Niektóre można pozyskać czerpiąc z nauk i porad osób starszych, doświadczonych. Ale ogólnie rzecz biorąc, w głowie – jak w sejfie – na początku niewinnie i pusto. Dotyczy to w całej rozciągłości przyszłych dziennikarzy. Wiedzę i umiejętności zdobywa się w tej profesji w ogniu walki, na pierwszej linii frontu.

**A więc dziennikarzem może być każdy, kto talent wyssany z mlekiem matki potrafi wzbogacić doświadczeniem?**

Nie tak prędko, z tym mlekiem, bo jeszcze się rozleje. Mówilem do tej pory o głowie, nic natomiast o sercu i ośrodku nerwowym. A tu właśnie rasowy dziennikarz umieszczony na akumulatory swojej aktywności. Nawet najlepsza głowa do pozłoty – uczonego w mowie bądź w piśmie – nadaje się co najwyżej do zacisza biblioteki, jeśli nie wspiera jej serce, które otwiera się na świat i ludzi. To jest też rodzaj naskórkowej wrażliwości pozwalają-

cej w pozornie otwartym i zrelaksowanym rozmówcy odkryć drzemiący w środku wulkan. Wyczuć, że naprzeciwko zasiada człowiek ciekawy, o niebanalnym życiu, maniak, którego można zrozumieć, a nawet polubić. Perełki dziennikarstwa, urok tego zawodu, to nie pogór za sensacją, a właśnie małe, ciche triumfy, którymi można podzielić się z czytelnikiem.

**Tyle serce. A ośrodek nerwowy?**

Sprawia, że nie jesteśmy w stanie usiedzieć w miejscu, za biurkiem. Coś nas gna po świecie, każe nawiązywać nowe znajomości, szukać tematów czasem tam, gdzie nas nie chcą. Taka ciekawość świata i ludzi oraz to coś, co trudno jednoznacznie określić, a co sprawia, że czasem stajemy w ordynku w straconej sprawie, aby pomóc komuś, kto pomocy – naszym zdaniem – potrzebuje lub na nią oczekuje. Środowisko dziennikarskie nieraz potrafi się odnaleźć choćby na chwilę w jedności ponad podziałami.

**Jednakże prasa lokalna zachowuje swoją odrębność, specyfikę publikacji, przemawia do określonego kręgu odbiorców...**

I tak być powinno. Na zjeździe założycielskim naszego Stowarzyszenia, w styczniu

1992 roku przyjęliśmy, że organizacja ta będzie miała charakter ogólnopolski. Z drugiej jednak strony położyliśmy wyraźny nacisk na „lokalność” naszych członków. Rzecz nie tylko w tym, że polska samorządność rozwijała się oddolnie i okrzepła w codziennym kontakcie małych, acz aktywnych, pełnych inicjatyw i ambitnych społeczności. Dokumentowanie zjawisk i wydarzeń, nobilitowanie owych społeczności poprzez wydźwięk medialny ich poczynąń to jedno z najważniejszych zadań prasy lokalnej. To również metryka jej specyfiki, warsztatu, a także po części języka komunikacji z odbiorcą. Zdając sobie z tego sprawę współpracujemy aktywnie z wieloma podmiotami o randze ogólnopolskiej, jednak przede wszystkim pozostajemy piewcami naszych małych ojczyzn – regionów, w których żyjemy i dla których dobra pracujemy. Stąd pewna kolejność podmiotowa naszej działalności. Na pierwszym miejscu nasze małe ojczyzny, choć w niczym to nie umniejsza obywatelskiego patriotyzmu i poczucia współodpowiedzialności za losy kraju. Aby te dwie dziennikarskie kompetencje udatnie łączyć, wypada nieustannie podnosić własne kwalifikacje. Dlatego na cyklicznych spotkaniach warsztatowych ciężko pracujemy...

**Zatem warsztaty SPL są okazją do wymiany poglądów i doświadczeń?**

Zdecydowanie tak, choć nie byłby to obraz pełny. Ważne jest to, co mamy do przekazania sobie nawzajem w oparciu o zawodowe doświadczenia. To jeden ze sposobów podnoszenia naszych kwalifikacji. Byłoby to jednak zbyt mało. Ważnym elementem spotkań jest też wykład specjalisty z dziedziny, która na co dzień odgrywa ważną rolę w praktyce dziennikarskiej.

**Czy są to kontakty jednorazowe, czy też Stowarzyszenie opiera się na sprawdzonej już grupie prelegentów?**

Nie będę ukrywał, że spotkania z pewną grupą osób odbywają się cyklicznie. Dwojakie są tego stanu rzeczy powody. Po pierwsze – to wybitni specjaliści w swojej branży. Po wtóre – posiadają dar przykuwania uwagi słuchaczy i za każdym razem rozszerzają prelekcje o nowe obszary wiedzy, szczególnie przydatne z naszego punktu widzenia. W gronie tych osób przede wszystkim wypada wymienić prof. dra hab. Jacka Sobczaka – specjalistę z zakresu prawa prasowego i autorskiego, a także dra Włodzimierza Chorążkiego – redaktora naczelnego Katalogu Mediów Polskich, pracownika Ośrodka Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego i red. Andrzeja Niczyperowicza – dziennikarza Gazety Poznańskiej i wykładowcy dziennikarstwa na UAM i WSUS w Poznaniu.

**Czy mógłby Pan wymienić i innych prelegentów warsztatów dziennikarskich?**



Spotkanie z gospodarzem wizyty – Kjell Ake Persson – Burmistrzem Hörby (pierwszy z lewej)

Wszystkich wymienić nie sposób, ale spróbuję podać choć kilku wykładowców, a może lepiej konsultantów. Ciekawe i owocne spotkania odbyliśmy z redaktorami: Krystianem Przysieckim, Filipem Łobodzińskim, Markiem Markiewiczem, z profesorem Jarosławem Kunderą, dyrektorem Centrum do spraw Integracji Europejskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, z Andrzejem Goszczyńskim, w owym czasie szefem Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Po-

skich, czy ze Stefanem Bratkovskim, honorowym prezesem tej organizacji. Cenimy sobie także spotkania z Igozem Janke, byłym redaktorem naczelnym Polskiej Agencji Prasowej, a obecnie kierownikiem Działu Politycznego „Rzeczpospolitej”, z Piotrem Adamczewskim z „Polityki”. Ostatnio nawiązaliśmy bliskie kontakty z Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych w Poznaniu, w wyniku których władze tej uczelni pojawiły się na naszych grudniowych warsztatach w Rokosowie koło Gostynia nie tylko w charakterze miłych gości, ale i wykładowców zarazem. Rektor – prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz mówił o wizerunku dziennikarza, a prorektor – doc. Krzysztof Lewandowski poświęcił swoje wystąpienie wciąż aktualnemu i wymagającemu wielu komentarzy zagadnieniu prawa prasowego i prawa własności intelektualnej. W ślad za tym marcowe tegoroczne warsztaty odbyły się w Poznaniu, a ich gospodarzem był WSUS. Tym samym postaviliśmy „kropkę nad i” w dziele bliskiej współpracy.

#### **Skąd myśl, aby nawiązać nić porozumienia z tą właśnie szkołą wyższą?**

Jest szereg przesłanek, które wskazują na celowość podjęcia takiej współpracy. Nasze stowarzyszenie zainteresowane jest nawiązaniem kontaktu z najmłodszą generacją dziennikarskiej braci, a jej przedstawicieli odnajdujemy w szeregach absolwentów WSUS. Wydaje się, że w murach tej właśnie uczelni adepci dziennikarstwa kształcą się zgodnie z arkanami i potrzebami profesji, której zamierzają się poświęcić. Jest jeszcze zbyt wcześnie aby podsumowywać jakieś etapy naszej współpracy, powiem tylko, iż wkrótce po marcowym spotkaniu Stowarzyszenia w Poznaniu zasiadliśmy po raz pierwszy do planowania wspólnych warsztatów dziennikarskich dla młodzieży, które odbywać się będą w Centrum Kultury i Sztuki w Lesznie. To już druga tura; zakończenie pierwszej – 2 czerwca tego roku – też odbyło się w Poznaniu a uatrakcyjniło to wydarzenie wspólne zwiedzanie siedziby poznańskiego ośrodka telewizji i jednej z rozgłośni radiowych. Oczywiście młodzi ludzie przy tej okazji spotkali się także z władzami WSUS i zwiedzili Szkołę. O dalszych aspektach współdziałania przyjdzie rozmawiać dalej, pewien jestem jednak, że nie powiedzieliśmy tutaj ostatniego słowa...

#### **I ja tak sędzę. Aby jednak zakończyć rozmowę, nawiązując do niedawnych wyborów Zarządu SPL, jakież życzenia przyjąłby Pan Prezes na kolejną kadencję najchętniej?**

Życzenia i pragnienia różne bywają: duże i małe. Standardowe i niekonwencjonalne. Być może klimat naszej rozmowy, obszar zagadnień, którym się przypatrywaliśmy sprawiły, że rozmarzyłem się cokolwiek na temat ojczyzny. Tej największej, europejskiej. Nasze Stowarzyszenie jest i zawsze pozostawało organizacją o zasięgu ogólnokrajowym, o czym dobitnie zaświadcza geografia kolejnych organizowanych przez nas warsztatów. Chcielibyśmy jednak – a to ważne i znaczy dla nas wiele – rozwijać się w kierunku kontaktów regionalnych na szczeblu europejskim. Konferencja wyjazdowa SPL odbywała się już w szwedzkiej Skanii, dochodziło do kontaktów z euroregionem Pomerania. Za nami także pierwsze kroki we wzajemnym poznaniu z jednym z landów naszego zachodniego sąsiada – Dolną Saksonią. Wreszcie – co bardzo istotne – członkowie Stowarzyszenia odwiedzili siedzibę Unii Europejskiej w Brukseli. Mam wrażenie, a i nadzieję, że to dopiero początki procesu, który już wkrótce znacznie się zintensyfikuje. Marzę o tym, abyśmy się poznali lepiej w tej naszej europejskiej dziennikarskiej rodzinie. Spodziewam się, że będziemy wymieniali pomiędzy sobą nie tylko doświadczenia, ale i materiały traktujące o naszych dużych i małych ojczyznach, a wszystko po to, aby rozwijała się ta największa – kontynentalna ojczyzna, której lepiej czy gorzej powinniśmy i wręcz chcemy służyć. Warto jeszcze dodać, że nawiązaliśmy również kontakty z Polskim Towarzystwem Naukowym w Żytomierzu na Ukrainie, bowiem temat rodzącej się demokracji w tym kraju jest nam szczególnie bliski. Nasi rodacy zza wschodniej granicy liczą na naszą pomoc, także w dziedzinie prasy lokalnej, my zaś chętnie będziemy ich wspierać.

#### **Życząc Panu i Pańskim koleżankom i kolegom ze Stowarzyszenia, aby służba ta obfitowała w wydarzenia zaszczytne i sercu miłe, dziękuję bardzo za rozmowę.**

Rozmawiał: Tomasz DYMACEWSKI



# Druga młodość Teatru Wielkiego

*Początek nowego sezonu artystycznego poznański Teatr Wielki przywitał w... rusztowaniach. To kolejny gmach, po Zamku i Collegium Maius, który przejdzie gruntowny remont. Elewacja zostanie wyczyszczona, a okna – wymienione. Ale remont to nie wszystko – Teatr, mimo że już z nazwy Wielki, będzie jeszcze większy. A konkretnie powiększy się o nowe skrzydło.*

Teatr Wielki od wielu lat "dusił się" w za małym, choć niezwykle pięknym Gmachu Pod Pegazem. I nic dziwnego - standardy wyposażenia budynków teatralnych w XIX wieku znacznie różniły się od wymogów stawianych dzisiejszym obiektom. Za małe i ciemne garderoby, długie i kręte korytarze zajmujące najwięcej przestrzeni, brak sali prób z prawdziwego zdarzenia, magazynów i zaplecza technicznego - to tylko kilka z długiej listy mankamentów Teatru Wielkiego. Budynek przy Alei Polskiej częściowo rozwiązywał problem magazynowy, ale odległość od samego teatru powodowała, że nie było to rozwiązanie idealne. Rozbudowa stawała się koniecznością, choć, jak wszystkie placówki kulturalne w Polsce, Teatr Wielki nigdy nie narzekał na nadmiar gotówki...

Szansa na nowe skrzydło pojawiła się wraz z wejściem do Unii Europejskiej i szansą na 20-milionową dotację unijną na remont. Prace nad projektem nowego skrzydła ruszyły z kopyta, jednak projekt rozbudowy autorstwa

znanego i cenionego poznańskiego architekta Jerzego Gurawskiego nie spodobał się Wojewódzkiej Radzie Konserwatorskiej, która ostatecznie miała zdecydować o tym, czy dojdzie do jego realizacji, czy nie. Pierwotny projekt historycy sztuki określali mianem „bunkra” czy „szpetnej przybudówki”. Ostatecznie, pod wpływem ich sugestii twórca budynku zmienił płaski dach najwyższej części nowego obiektu na skośny, a Rada, dodając kilka następnych poprawek, ostatecznie zaakceptowała projekt. Nowy budynek nie będzie miał widniejącego w pierwotnej wersji szklanego dachu, drewnianych balustrad i rusztowań dla zieleni. Zdaniem Rady - jego wygląd i dopasowanie do starego gmachu teatru tylko na tym zyska.

Jeśli Teatrowi Wielkiemu uda się uzyskać unijną dotację, to rozbudowa zacznie się jeszcze w tym roku. Poznaniacy będą mogli podziwiać większy Teatr Wielki dopiero pod koniec przyszłego roku, a najpóźniej – wiosną 2007,

(el)

foto A Woźniak



# Wodne torpedy w Śremie

*Tysiące widzów,  
wspaniała  
organizacja,  
wielki sportowy  
spektakl*



Sobota i niedziela 27/28 sierpnia 2005 roku na trwałe przejdą do historii Śremu. W tych dniach na Jeziorze Grzymisławskim odbyła się przedostatnia tegoroczna eliminacja Motorowodnych Mistrzostw Świata Formuły 500. Śrem, który od wielu już lat organizuje imprezy wysokiej rangi, po raz pierwszy gościł uczestników mistrzostw świata. I to od razu w jednej z najbardziej prestiżowych, najszybszych klas: F-500.

Zmagania motorowodniaków okazały się udane pod każdym względem. Wspaniała rywalizacja sportowa, niezwykle sprawna organizacja z wieloma atrakcjami dla tysięcy widzów, wreszcie pogoda, jakby zamówiona specjalnie na życzenie uczestników Mistrzostw.

Sukces osiągnięty został dzięki zaangażowaniu wielu osób i środowisk. Nie zabrakło wśród nich Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu, której rektor prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz znalazł się wśród członków Komitetu Honorowego Motorowodnych Mistrzostw Świata Formuły 500 „Śrem 2005”.

Formuła 500 zaliczana jest w wyścigach motorowodnych do klas otwartych, w której osiągane są znaczne prędkości dochodzące do 190 km/h. (rekord ustanowiony w specjalnych warunkach od 2003 roku należy do Amerykanina Briana Juckera i wynosi 191,87 km/h). W łodziach typu katamaran zawodnicy siedzą w specjalnych kokpitach, które muszą wytrzymać 3,5 tony nacisku na 1 cm kwadratowy, a pozostała część w razie wypadku jest stre-

fą zgniota. Sprzęt najnowszej generacji, z jakiego obecnie korzysta cała światowa czołówka jest bardzo kosztowny. Łodzie są wyjątkowo mocne, budowane ze sztucznych włókien węglowych. Naturalna sklejka, z której niegdyś budowano łodzie, to bezpowrotna przeszłość.

Tego typu wodne torpedy oglądano w Śremie po raz pierwszy. Nic więc dziwnego, że zmagania cieszyły się olbrzymim zainteresowaniem, a rywalizację na Jeziorze Grzymisławskim obserwowały z zapartym tchem tysiące widzów.

Najlepsi motorowodniacy świata nie zawiedli oczekiwań. Walka w każdym z trzech wyścigów (zawodnicy mieli do pokonania 8 okrążeń liczącego 1508 m toru) była bardzo zacięta, emocjonująca, momentami dramatyczna i dostarczyła wielu emocji. Swą supremację w Formule 500 potwierdził aktualny mistrz świata Włoch Tiziano Trombetta, który wygrał śremską eliminację MŚ, umacniając się na czele klasyfikacji generalnej tegorocznego championatu. 41-letni Trombetta okazał się najlepszy mimo, że triumfował tylko w ostatnim z przeprowadzonych wyścigów, w pierwszym uplasował się na drugiej pozycji, a drugiego nie ukończył z powodu awarii silnika. Tym samym włoski motorowodniak uczynił kolejny krok na drodze do piątego w karierze, a trzeciego z rzędu tytułu mistrza świata.

Kibice mogli jedynie żałować, że w gronie zawodników rywalizujących w MŚ Formuły 500 zabrakło reprezentantów Pol-



ski. Jedyń Polak starający się sprostać bardzo trudnym wymaganiom technicznym i finansowym zmagani w tej klasie **Tadeusz Haręza** (MKS Team Haręza Żnin), z powodu kłopotów z silnikiem zrezygnował ze startu w Śremie, koncentrując się na przygotowaniach do mistrzostw Europy.

W tegorocznych MŚ Haręza (podobnie jak Trombetta i większość zawodników czołówki światowej) startuje na silniku VRP Verona o mocy 200 KM mogącym osiągać prędkość nawet do 220 km/h) po trzech eliminacjach sklasyfikowany na 15 pozycji, jeszcze przed zawodami na Jeziorze Grzymisławskim nie miał już szans na wysoką, a tym bardziej medalową lokatę.

O punkty w klasyfikacji mistrzostw świata walczyli więc inni. Ostatecznie pozostałe miejsca na podium – za Tiziano Trombettą – zajęli w Śremie Brytyjczyk Tony Sallis ( triumfator wyścigu drugiego) oraz Paul Hart, którzy dzięki temu zachowali jeszcze cień szans na medale tegorocznego championatu. Czwarty był zajmujący w klasyfikacji generalnej trzecią pozycję Włoch Ivan Copelli, a dopiero szósty wicelider MŚ-2005 Austriak węgierskiego pochodzenia Attila Havas. Ten ostatni okazał się wielkim pechowcem. W pięknym stylu wygrał pierwszy wyścig, ale dwóch pozostałych nie ukończył z powodu awarii silnika, choć także w nich ruszał ze startu najszybciej. W ten sposób stracił możli-

wość odrobienia części wcześniejszych strat do Trombety i jego szanse na zdetronizowanie Włocha znacznie zmalały.

Polskich motorowodniaków można było za to oglądać w czterech innych klasach, w Śremie odbyła się bowiem w tych samych dniach również kolejna eliminacja międzynarodowych mistrzostw Polski w klasach S-550, T-550, T-400 oraz JT-250.

Najwięcej emocji wzbudzała rywalizacja w klasie S-550. Nic dziwnego, skoro na starcie w komplecie pojawili się medaliści tegorocznych MŚ w Janikowie: mistrz świata **Łukasz Ciołek** (Ślizg Szczecin), wicemistrz **Ugis Gross** z Łotwy oraz brązowy medalista **Lechosław Rybarczyk** z Poznania. Utytułowany poznanian rozpoczął rywalizację znakomicie. W pierwszym wyścigu najszybciej ruszył ze startu, ale potem wyprzedził go Ciołek, a w końcu obu Polaków minął Gross. W pozostałych wyścigach Rybarczyk był czwarty, co ostatecznie dało mu w śremskich zawodach trzecią lokatę. I tak był usatysfakcjonowany, gdyż dysponuje obecnie sprzętem nie najwyższej jakości. Tym razem bezkonkurencyjny okazał się w tej klasie Ugis Gross, który we wszystkich wyścigach zwyciężał, choć mistrz globu Łukasz Ciołek za każdym razem ostro go naciskał, a w ostatnim wyścigu był wolniejszy dosłownie o centymetry. Z dobrej strony zaprezentował się w tej klasie były znany żużlowiec Unii Lesz-





no Adam Łabędzki, który w obu wyścigach niedzielnych zajmował trzecią lokatę, a w całej śremskiej eliminacji MMP został sklasyfikowany na czwartym miejscu.

Łabędzki, jako motorowodniak reprezentujący barwy Poznania, już w Śremie nie ukrywał, że marzy o tytule, a przynajmniej o medalu, mistrzostw Europy w klasie S-550, zaś to co pokazał na Jeziorze Grzymisławskim wskazywało, że nie będzie bez szans. I rzeczywiście były żuźlowiec wiedział co mówi. Dwa tygodnie później w węgierskim Dunaujvaros w pięknym stylu zdobył złoto mistrzostw Europy. Łukasz Ciołek był tam drugi, a Lechosław Rybarczyk uplasował się na czwartej pozycji.

W klasie T-550 zwyciężył na Jeziorze Grzymisławskim zawodnik LOK Poznań Leszek Głogier, który końcowy sukces zapewnił sobie wygraną w ostatnim wyścigu, w klasie T-400 najlepszy we wszyst-

kich trzech startach był Krzysztof Ey (LOK Szczecin), a w klasie JT-250 wszystkie wyścigi wygrał Arturus Brolitis z Łotwy.

Niestety niewiele dało się powiedzieć w klasie T-500 o umiejętnościach mistrza Europy, wspomnianego już wyżej Adama Łabędzkiego. Już w pierwszym wyścigu tej klasy popularny „Łabędz” miał bardzo groźnie wyglądającą kolizję z Dariuszem Nogajem z Baszty Żnin i choć obu na szczęście nic się nie stało – ich łódki

zostały na tyle zniszczone, że ich dalsze występy okazały się niemożliwe.

Ogółem w zawodach uczestniczyło ponad 40 pilotów. W mistrzostwach świata Formuły 500 zaprezentowali się przedstawiciele 6 krajów: Austrii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch, Łotwy i USA. Na starcie widzieliśmy nie tylko najlepszych, ale również młodych adeptów sportów motorowodnych, w tym w klasie JT-250 dla najmłodszych zawodników do lat 16 trzy polskie dziewczęta. Wcale nie były najgorsze, wyprzedziły kilku kolegów, a **Kasia Ciołek** ze Ślizu Szczecin w końcowej klasyfikacji śremskiej imprezy stanęła na trzecim stopniu podium. Zresztą o tym, że dziewczyny mogą z powodzeniem startować w wyścigach motorowodnych przekonał występ trzech Niemek w klasie S-550.

Dwudniowa impreza przyniosła nie tylko wymierne osiągnięcia sportowe. Uczestnicy zmagali chwalili sobie i akwen, i gorąco reagującą publiczność, życzliwych organizatorów a nade wszystko prawdziwie rodzinna atmosferę, z którą mieli do czynienia na niemal każdym kroku. Toteż starosta śremski, Teodor Stępa, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Mistrzostw zebrał wiele zasłużonych komplementów, na które zresztą – wraz z kierowanym przez siebie zespołem – solidnie zapracował. To naprawdę była doskonała promocja Ziemi Śremskiej. Po raz kolejny przekonaliśmy się o jej licznych walorach oraz o gospodarności jej mieszkańców.

Krzysztof MACIEJEWSKI



# Szlachetne dziedzictwo czy przeklęty spadek?

*Tytuł tej wystawy jest kwintesencją jej zawartości nie tylko w sensie fizycznym – czyli prezentowanych dzieł sztuki. Jest także odniesieniem do stylu życia, obyczajów i norm naszych przodków z epoki baroku, która uosabiała i to, co najlepsze, i to, co najgorsze w polskiej kulturze. Zdaniem kuratora wystawy, Joanny Dziubkowej, sarmackie tradycje przetrwały w naszej kulturze do dziś. I oglądając tę wystawę, trudno się z nią nie zgodzić.*

Na co dzień raczej nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wielki wpływ wywarła na nas sarmacka tradycja – i pozytywnie, i negatywnie. A szkoda.

„Bez dawnych bohaterów i zdrajców, bez sarmackiej fantazji rycerskiej, jakże młda byłaby Sienkiewiczowska Trylogia” – pisze Joanna Dziubkowa. – „Czyż bez polskiej brawury, prawda, wielokrotnie potępianej, byłby do zdobycia wawóz Somosierry, klasztor na Monte Cassino, czyż wreszcie byłby pokonany komunistyczny reżim? A bez sarmackiego fermentu jaka byłaby twórczość Aleksandra hrabiego Fredry, Witkacego, Gombrowicza, Mrożka?”

Wystawa „Szlachetne dziedzictwo czy przeklęty spadek” pozwala znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania. Pozwala też zastanowić się nad całym bogactwem, złożonością tej rozbuchanej epoki – i dziedzictwem, które nam zostawiła.

## Rozdziały życia Sarmaty

Ekspozycja ponad 800 obrazów, grafik, rzeźb, uzbrojenia czy dzieł sztuki użytkowej została podzielona na kilka działów tematycznych. Pierwszy z nich to „Życie rodzinne” – prezentująca typowe domy ówczesnej szlachty, z ich gustem co do wyboru tkanin, dekoracji stołu i domowymi zwyczajami. Wszystko o służbie publicznej można znaleźć w części „Na urzędzie”. „Formowanie ducha i ciała” to kolejna ważna część życia Sarmaty – są tu obiekty związane z wiarą, nauką, a także nieodłączną rozrywką. „Rycerze chrześcijańskiego przedmurza” – to odniesienie do znaczenia Polski w tym czasie jako obrońcy chrześcijaństwa przed turecką nawałą.

Najbardziej niezwykłą częścią wystawy jest dział „Wobec śmierci” – poświęcony portretem trumiennym, które nie występują nigdzie indziej poza Polską, i ceremoniom pogrzebowym, których portrety były nieodzowną częścią. Swoistym podsumowaniem wystawy, a raczej zadanego w tytule pytania, jest część „Impresje współczesne” ukazujące, jak wiele z sarmackiej tradycji przetrwało do dziś i jak często, nawet o tym nie wiedząc pieczołowicie kultuujemy obyczaje pochodzące właśnie z tamtej epoki.

## Sarmackie dziedzictwo

Węc „Szlachetne dziedzictwo czy przeklęty spadek”? Odpowiedź na to pytanie jest – jak i cała sarmacka epoka – niejednoznaczna. Bo obok autentycznej wielkości, bohaterstwa, bezinteresowności, pełno tam kultuństwa, ciasnoty umysłowej, zabobonów i zrad oraz – jakbyśmy to dzisiaj nazwali – łapówkarstwa. Ale właśnie to stanowi o wsapaniałości, iście barokowej różnorodności tej epoki. Tak soczystych, żeby nie powiedzieć krwistych, postaci w tej liczbie próżno by szukać w innych rozdziałach naszej historii. Sarmaci umieli żyć i czerpać z życia pełnymi garściami, również też widowiskowo i barwnie potrafili umierać. Wystawa uświadamia nam jeszcze jedną, i może najważniejszą rzecz – jakie by nie było to dziedzictwo, stanowi znaczącą część narodowej tożsamości. A naszym zadaniem jest wykorzystać je jak najlepiej.

Lilia ŁADA

Fot. Muzeum Narodowe w Poznaniu



# Folklor z całego świata

*Barwnie,  
tanecznie, egzotycznie  
i... z przytupem rozpo-  
czął się w Wielkopolsce  
kolejny, piąty już  
Światowy Przegląd*

ZTL Poznań AWF  
- gospodarz  
Przeglądu

*Folkloru „Integracje 2005”. W tym roku wielbiciele tradycyjnej muzyki w egzotycznym wydaniu mieli prawdziwe święto: mogli podziwiać zespoły z Turcji, Serbii i Czarnogóry, Węgier i Czech, a także reprezentujących rodzimny folklor gospodarzy imprezy: Zespół Tańca Ludowego „Poznań” Akademii Wychowania Fizycznego. W powodzi egotyki nieco zginął zespół Segapidi z Estonii, reprezentant północy Europy. Ale jak się okazało, to właśnie on stał się największą niespodzianką „Integracji”.*

Festiwal folkloru rozpoczął się 15 sierpnia ekumeniczną mszą świętą i przemarszem wszystkich zespołów ulicami Starego Miasta. Poznaniacy mieli więc okazję, by podziwiać egzotyczne i bardzo kolorowe stroje oraz umiejętności tancerzy zespołu. Kto nie zdążył – miał szansę jeszcze dzień później, podczas parady na Półwieskiej i koncertu w Parku Wilsona, albo na koncertach w Lesznie, Wągrowcu i Grodzisku Wielkopolskim. Jednak ukoronowaniem „Integracji” był bez wątpienia koncert finałowy, zaplanowany na dziedzińcu

Urzędu Miasta Poznania. Tu mistrzostwem popisali się nie tylko wykonawcy, ale i organizatorzy, którzy wspaniale i wszechstronnie wykorzystali niezwykle scenę barokowego dziedzińca. Żywiłowe tańce górali, Węgrów i Czechów, dynamiczne walki na miecze w wykonaniu tureckich wojowników były niezwykle umiejętnie podkreślone grą świateł, a wykorzystanie malowniczych akcentów architektonicznych budynku jako elementów scenografii było doskonałym pomysłem. Serbski chór śpiewający w arkadach dziedzińca, egzoty-



ka barwnych tureckich strojów czy żywiołowe popisy węgierskich tancerzy – wszystko to uczyniło z koncertu piękne, teatralne wręcz widowisko, którego nie powstydziliby się żaden teatralny festiwal plenerowy.

Największą jednak niespodzianką festiwalowej publiczności, i to tej z pierwszych rzędów, sprawili...Estończycy. Zespół Tańca Segapidi po raz pierwszy przyjechał do Polski, choć działa już od 18 lat i występował w wielu krajach Europy: Norwegii, Hiszpanii, Szwajcarii, Włoszech czy Turcji. Wszędzie odnosił ogromne sukcesy. Nie inaczej było w Poznaniu, i nic dziwnego: Estończycy porwali do tańca publiczność, i to w sensie dosłownym. Tancerze do szczególnie skocznej poleczki zaprosili...widzów z pierwszych rzędów! I trzeba przyznać, że taniec wyszedł doskonale dzięki muzycznym talentom poznaniaków – i umiejętnemu prowadze-

niu przez gości. Z pewnością wszyscy, którzy widzieli zespół Segapidi w tańcu lub mieli okazję spróbować swoich sił z estońskimi tancerzami na parkiecie nigdy nie uwierzą już, że im dalej na północ Europy – tym mniej humoru i temperamentu..

Właśnie dzięki umiejętnemu operowaniu specyfiką folkloru każdego występującego kraju, stopniowanie napięcia i bardzo dobrą organizację – festiwal, jak każda udana impreza, pozostawił po sobie uczucie pewnego niedosytu. Chciałoby się, by trwał przynajmniej jeszcze raz tak długo – co oczywiście ze względów organizacyjnych i przede wszystkim finansowych byłoby niemożliwe. Ale za rok kolejna, szósta edycja „Integracji” – i szansa, by te wszystkie malownicze i egzotyczne zespoły zobaczyć ponownie...

Lilia ŁADA

fot. archiwum ZTL Poznań AVF, archiwum



Zespół Segapidi z Estonii

# Opowiem wam o tym, jak zginął...

**W**iemy, jak zginął. Wiemy, dlaczego musiał umrzeć. Wiemy, kto tego dokonał, i po części wiemy, a po części domyślamy się, kto zlecił dokonanie zbrodni. Ksiądz Jerzy Popiełuszko stał się symbolem, ikoną, przekonani, od których nie odstępujemy się za żadną cenę. Choćby była najwyższa. To nie znaczy, że Kapłan chciał zostać męczennikiem, że oczekiwał takiego właśnie, nie innego kresu. Zmagając się z ciężką chorobą, która podkopywała jego siły, należał do tej nielicznej grupy, która mając szczególną świadomość przemijania, cieszy się każdym dniem. Ksiądz Jerzy cieszył się tym, że mógł nieść posłanie. A jednak musiał odejść...

Mam przed sobą książkę, która wcale nie jest duża. I nie jest sensacyjna, mimo że znaczną część jej fabuły stanowi próba odtworzenia zbrodni. Jest też i tak, iż właściwie nie zaskakuje nas tu objawienie nowych prawd, bowiem to - podkreśliłem ów fakt wcześniej - jedna z najgłośniejszych zbrodni politycznych, jakie na przestrzeni wieków w naszym, szanującym bądź co bądź odmienne poglądy kraju popełniono. Książka zatem nie odtwarza tego co się stało, a jeśli wraca do feralnego dnia, i tego co działo się bezpośrednio przed i wkrótce po dokonaniu zbrodni, to przede wszystkim po to, aby ukazać stan ducha, w którym znajdowali się sprawcy. Jak wiemy, każda książka ma swój rdzeń, oś, wokół której budowane są myśli autora, gromadzone fakty, domniemania i wnioski, z których czytelnik zbudować winien własną, osobistą wizję opowieści, jaką ma do przekazania twórca - autor. W tym konkretnym wypadku, taką ośną jest moralna postawa zabójców i zleńciodawców. Zatem w gronie tych, o których dowiadujemy się z opowieści pojawia się



także Adam Pietruszka – bezpośredni przełożony zabójców, który jednak bezpośrednio w dokonaniu zabójstwa nie uczestniczył. Był jednak tym, który wiedział i pomagał w przygotowaniach, a później zrobił wiele, aby zacierać ślady. Ten człowiek też na swój sposób żył tym co się rozgrywało i w decydujących chwilach najwyraźniej działał pod wpływem silnego stresu. W niczym to go nie usprawiedliwia, w żaden sposób nie tłumaczy. A jednak to właśnie go uczłowiecza.

Jestem pod silnym wrażeniem ważnej pracy, jaką wykonała autorka starając się wydobyć jak najwięcej ludzkich cech z wykonawców odrażającego mordu. Nawet z Grzegorza Piotrowskiego, który do dziś utrzymuje, że zabijając zapobiegł o wiele groźniejszym i bardziej krwawym

wydarzeniom. Jakie by to miały być wydarzenia - przemilcza. Nawet Piotrowski przebywający na wolności, zatem oceniający swój udział i swoją rolę w wydarzeniach z innej perspektywy, w kontekście wydarzeń sprzed lat ponad dwudziestu ukazuje się jako człowiek wprawdzie zdeterminowany, wręcz obłąkany ideą, której służy, jednak - poddany stresowi, pod którym momentami się ugina.

Jest znaną - nie tylko dla psychologów - regułą, że najsilniej i najgłębiej odczuwamy te sprawy, które względnie blisko nas dotyczą. Dopóki o zabójstwie księdza Popiełuszki myśleliśmy w kategorii uniwersalnej, niejako w nawiązaniu do ciągu męczeństwa, którego Kościół w ciągu swej długiej historii zapisał wiele rozdziałów, dopóty odnosiliśmy się do całej tej sprawy z bezpiecznym dystansem. Z chwilą jednak nawiązania bezpośredniego, mentalnego kontaktu ze sprawcami mordu - a umożliwiła nam to autorka za pośrednictwem przemyślanego układu książki i zaangażowania, z jakim ją napisała - nasz spokój ulatnia się bezpowrotnie. Uświadamiamy sobie, że za zbrodnią stanęli ludzie z krwi i kości, choć pobudki, dla których dopuścili się tego czynu okazały się obłąkane, chore. Pytanie, jakie rodzi się po zakończeniu lektury niepokoi i frapuje. Winniśmy się bowiem zastanowić, ile zła, ile zgody na nikczemność, na nieprawość jest nadal w nas samych? Na ile zło odcisnęło się w ludziach młodych, którzy sprawy księdza Jerzego nie znają już z autopsji. Z pewnością przeczytanie książki, którą gorąco polecam, nie pozwoli udzielić jednoznacznej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Lecz pomoże być może myśleć głębiej, a to już sukces, dla którego warto było napisać tę opowieść.

Tomasz DYMACEWSKI

**Krystyna Daszkiewicz, *Sprawa Morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki raz jeszcze*, Media Rodzina, Poznań 2005**

# Przeciw alibi i bezkarności

*drapieżcy*  
pedofile  
gwałtciiele  
i inni  
przestępcy  
seksualni

Szara okładka, jak szara rzeczywistość. Jednakże czy ta rzeczywistość jest rzeczywiste szara? Czy czasem nie przystoi jej bardziej żałobna czerń? Anna C. Salter znów szokuje, przeraża, burzy spokój codzienności, zmusza do nerwowego spoglądania za siebie. A przecież nie jest autorem thrillerów ani opowieści sensacyjnych. Jest po prostu lekarzem z wieloletnią praktyką.

Kiedy jako młoda i pełna zapału absolwentka uczelni wyższej Anna Salter rozpoczęła w niewielkim miasteczku praktykę, z niepokojem, a później rosnącym przerażeniem stwierdziła, że wielu spośród jej pacjentów jest bądź ofiarą wykorzystania seksualnego, bądź w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób stara się ukryć własne aberracje. Na pierwszym większym spotkaniu zawodowym zwierzyła się koleżdze, że przypadło jej w udziale przebywać w istnym Salem, gdzie problemy seksualnej przemocy, pedofilii i sadyzmu wyglądają z każdego kąta i obciążają niemal wszystkie sumienia. Ku jej przerażeniu kolega stwierdził, że miejsce, w którym praktykuje on sam, w niczym nie różni się od tego, które opisywała Anna.

„Drapieżcy” są plonem decyzji, jaka podjęła wówczas młoda lekarka. Minęło wówczas wiele lat, zanim książki Salter zaczęły ukazywać się na amerykańskim rynku wydawniczym wstrząsając tymi, którym nie jest wszystko jedno i którzy nie przechodzą obojętnie wobec cudzego cierpienia i strachu. Bowiem Anna Salter opisuje świat seksualnych dewiacji, niestety świat realny aż do bólu i na tyle globalny, że nie ograniczony do Stanów Zjednoczonych, lecz - nie można mieć co do tego złu-



dzeń - wszechobecny. Fakt, że w USA ujawnia się na wielką skalę akty przemocy seksualnej i seksualnego wykorzystywania bynajmniej nie dowodzi, że demokracja amerykańska sprzyja takim wynaturzeniom i toleruje je. Przeciwnie, owa wysoka wykrywalność pozostaje w bliskim związku z odwagą i odpowiedzialnością, która wielu osobom każe ujawniać znane sobie wydarzenia lub w wypadku, gdy samemu jest się ofiarą, oddać się pod opiekę prawa. Obawiam się, że społeczności w większym stopniu kultywujące tradycyjne wzorce kulturowe, starannie skrywają mroczne tajemnice obawiając się ich ujawnienia.

„Drapieżcy” są książką, której nikt nigdy nie przeniesie na ekran, nikt też nie będzie czytał jej fragmentów w mediach. A jednak przeczytać powinni ją wszyscy. Pomimo drastycznych, niejednokrotnie obscenicznych sytuacji, dowodzących raz jeszcze, że to życie właśnie pisze najprawdziwsze, a zarazem niewyobrażalne niemal scenariusze. Po przeczytaniu „Drapieżców” zalecam głęboki oddech i nie popadanie w panikę ani w depresję, choć здаwać by się mogło, że napastnikiem seksualnym może być każdy. Jednak – zgodnie z intencją i sugestią autorki – potrzebna jest przede wszystkim uwaga i wszechogarniająca troska, szczególnie wobec dzieci, tak ufnych a zarazem tak bezbronnych. Przedstawiane tu mechanizmy seksualnego uzależnienia oprawców i ich ofiar są na tyle perfidne, że nie oprął by się im niejeden dorosły. Cóż dopiero mówić o dzieciach...

Jest jeszcze wiele do zrobienia, wiele do uratowania. Jako społeczeństwo nie zdajemy sobie jeszcze do końca sprawy, jakich środków może się chwycić seksualny demon omotując swoją ofiarę, jakie granice przekroczy sadysta po to tylko, aby poczuć dreszczek emocji. Pamiętajmy, że „Lolita” Nabokova – zekranizowany klasyk końca lat czterdziestych ubiegłego wieku to wszak nic innego jak opis kampanii seksualnego osaczania młodej ofiary przez napastnika, który stosuje klasyczne – przez Salter wielokrotnie w „Drapieżcach” opi-

ANNA C. SALTER

# drapieżcy

pedofile  
gwałciciele  
i inni  
przestępcy  
seksualni

Kim są, jak działają  
i jak możemy chronić  
siebie i nasze dzieci

MEDIA RODZINA

sywane – metody okrażania i pozyskiwania zaufania osób bliskich swojego celu. Bohaterka „Lolity” nie jest nimfettką i nikogo nie prowokuje prócz wyobraźni napastnika, który każdy jej ruch i gest odczytuje jako rzekomą zachętę. W końcu, kiedy staje się nieosiągalna nagle w traci cały swój powab, staje się vulgar-na, pospolita, odpychająca tak – jak chorej wyobraźni tłumaczą mechanizmy zaprzeczenia. Może ta prawdziwa Lolita,

ta, ta Lolita z rzeczywistości była wtedy szczęśliwą żoną, może odnalazła się w blasku domowego ogniska? Pamiętajmy, że oglądamy świat oczyma człowieka chorego. I pamiętajmy czytając lub oglądając „Lolitę”. To książka bardzo bliska życia..

Tak długa dygresja na temat utworu literackiego, na który Anna Salter nie powołuje się ani razu na swoje uzasadnienie. Nie chciałem, ani nie mogłem szokować Państwa wybieraniem fragmentów książki amerykańskiej lekarki albowiem trzeba ją przeczytać w skupieniu i ze swego rodzaju godnością osobistą. Jakiegokolwiek cytaty tej lektury nie zastąpią ani też do niej nie zachęcą. Jest po prostu książka, którą powinniście Państwo przeczytać po to, aby wiedzieć więcej o życiu, aby być przygotowanym na niespodziewane, które może wyjść w każdej chwili za rogu. Idzie o to, aby nie załamywać rąk siedząc na krawężniku. Apatia i depresja to ulubiona pożywka seksualnych napastników. W takim środowisku czują się najlepiej, bo ono zapewnia im alibi i bezkarność. Przeciw alibi i bezkarności napisano tę książkę, a zachęta do jej przeczytania to mój moralny obowiązek, co niniejszym z pełnym przekonaniem czynię.

Tomasz DYMACEWSKI

**Anna C. Salter, *Drapieżcy. Pedofile, gwałciciele i inni przestępcy seksualni. Kim są, jak działają i jak możemy chronić siebie i nasze dzieci*, Media Rodzina, Poznań 2005**

# Bursztynowy Motyl dla Olgierda Budrewicza

*Na jego książkach wychowały się tysiące młodych marzycieli i podróżników. Jak nikt inny potrafił zachwycić dalekim światem, egzotycznymi wyspami, na które oprócz niego trafiło jeszcze najwyżej kilka osób. Ale nawet i w bardziej popularnych miejscach umiał zawsze zauważyć coś, czego nie dostrzegł żaden inny podróżnik. Za kolejną ze swoich fascynujących książek „Druga strona Księżyca. Przygody na wyspach Pacyfiku” Olgierd Budrewicz otrzymał dziesiątą nagrodę Bursztynowego Motyla.*

Bursztynowy Motyl jest wyjątkową nagrodą literacką nie tylko ze względu na urodę nagrody, wykonanej ze srebra i bursztynu w pracowni samego Wojciecha Kruka. Jest wyjątkowa, bo przyznawana literaturze podróżniczej, która przecież – choć zawsze chętnie czytana – uchodziła za prozę nieco niższych lotów. Twórcy nagrody, czyli Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu, postanowili przywrócić jej należne miejsce i rangę. Nic dziwnego: w końcu to pod Poznaniem urodził się chyba największy polski obywatel i autor do dziś niezwykle popularnych książek – Arkady Fiedler. Do dziś wielki podróżnik patronuje nagrodzie, a wśród jej laureatów są takie znakomitości jak Stanisław Szwarc – Bronikowski, Jerzy Kukuczka, Jacek Palikiewicz czy Marek Kamiński. Od 30 maja w ich gronie jest już także Olgierd Budrewicz, dziennikarz, pisarz i podróżnik, który szczególnie ukochał najodleglejsze rejonu Pacyfiku i znajdujące się tam wyspy. W najnowszej, nagrodzonej książce rozpoczyna swoją wędrówkę od Wysp Salomona, Papui Nowej Gwinei oraz Irianu

Zachodniego, odwiedza też tak egzotyczne miejsca jak Mariany, archipelag Palau, Yap czy wyspy Kiribati. Dla większości Polaków odnalezienie ich na mapie stanowiło-



by wielką sztukę – a co dopiero wyprawa tam, na drugą stronę Księżyca.. Olgierd Budrewicz snuje mistrzowską opowieść o sympatycznych i życzliwych tubylcach zamieszkujących rajskie wyspy, o kłopotach tych odległych wyspiarskich państewek niszczonych przez tajfuny i huragany, o egzotycznych owocach na tamtejszych bazarach i tak pięknych, że

aż kiczowatych zachodach słońca, i o polskim badaczu Janie Kubarym, który pracował właśnie na wyspach Pacyfiku... Warto po nią sięgnąć – poza doskonałą rozrywką i znakomitym językiem urodzonego gawędziarza oferuje też czytelnikowi solidną porcję rzetelnej wiedzy. I z pewnością jest jak najbardziej godna „Bursztynowego Motyla”.

Lilia ŁADA  
tł. archiwum

# The Rolling Stones

## A Bigger Bang

*A Bigger Bang – większe uderzenie, wybuch, wystrzał... Większy – a dokładniej – lepszy niż poprzedni studyjny album Rolling Stonesów Bridges To Babylon (1997). Z drugiej strony napisać o tej płycie: „dzikie konie nie mogłyby odciągnąć” nas od słuchania, byłoby przesadą – pewnych rzeczy powtórzyć się nie da. Bez problemu za to da się rozpoznać charakterystyczne brzmienie zespołu, który pokazuje, że jest w świetnej formie – nie tylko na koncertach, ale także w studiu.*

Po dwóch latach świętowania czterdziestych urodzin, uczczonych jubileuszową składanką *Forty Licks* (2002) i trasą koncertową uwiecznioną na poczwórnym DVD (*Four Licks*, 2003) oraz podwójnym albumie (*Live Licks*, 2004), przyszedł wreszcie czas na nowy zestaw premierowych piosenek zespołu. W nagrodę za cierpliwość mamy najdłuższą studyjną płytę The Rolling Stones od czasów *Exile On Main Street* (1972). Nie ilość, a jakość jest tu jednak najistotniejsza.

*A Bigger Bang* nawiązuje do najlepszych stonessowskich tradycji. Zespół nie stara się na siłę stworzyć czegoś bardzo oryginalnego, zamiast tego wykorzystuje sprawdzone patenty kompozytorskie, łącząc je znakomicie ze swoim klasycznym brzmieniem. Do tego należy jeszcze dodać wciąż niespożyte pokłady energii, dzięki



którym nawet po sześćdziesiątce Stonesi nie zwalniają tempa, a ich nagrania nie tracą dynamiki. Kombinacja tego wszystkiego powoduje, że płyty słucha się doskonale – w całości. Nie ma tu jednak piosenek, które wyróżniałyby się zdecydowanie spośród pozostałych (wyjątkiem jest bluesowy „Back Of My Hand” – ale to z racji gatunku). Największy przebojowy potencjał ma „Oh No, Not You Again” choć osobiście bardziej podoba mi się „Driving Too Fast” – obawiam się jednak, że żadnej z nich nie skojarzymy za kilka lat z *A Bigger Bang* tak, jak choćby „Start Me





Up" z *Tattoo You* (1981), „Mixed Emotions” ze *Steel Wheels* (1989) czy „Love Is Strong” z *Voodoo Lounge* (1994), nie wspominając już klasyków z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nawet - przyznaję, udane - „Streets Of Love”, „Laugh, I Nearly Died” i sympatyczne, zaśpiewane przez Keitha Richardsa „This Place Is Empty”, nie są w stanie dorównać pięknemu „Almost Hear You Sigh”, ostatniej wspaniałej balladzie Stonesów (*Steel Wheels*, 1989). Nieco bardziej dynamiczne „Biggest Mistake” i funkujące „Rain Fall Down” są jak czekoladowe ozdoby tortu (innego niż ten z okładki *Let It Bleed*, 1969) - tylko co z soczystą wienienką na szczycie?

W tekstach jedyną niespodzianką jest „Sweet Neo Con”, w którym Mick Jagger nie oszczędza administracji George’a W. Busha. Poza tym The Rolling Stones trzymają się własnych standardów. Kiedy Mick śpiewa o kobietach: pociągających w perwersyjny sposób („Dangerous Beauty”), tych dobrych - których nie potrafił zatrzymać przy sobie („Biggest Mistake”), tych złych, które odeszły („It Won’t Take Long”)

oraz tych, które co gorsza, chcą wrócić („Oh No, Not You Again”), nie mamy wątpliwości, że jest to autentyczne. Tej autentyczności nie brakuje także w dosłownym „Rough Justice” i namiętym „Rain Fall Down”. Mniej przekonujący od swojego kompana jest w tej roli Keith Richards („This Place Is Empty”), choć - pomijając jeden fragment tekstu śpiewanej przez niego ballady - trzeba przyznać, że nawet „dziki cygan” potrafi być na swój sposób urokliwy.

Po takiej płycie, jak *A Bigger Bang*, mam nieodpartą ochotę posłuchać Stonesów znów na żywo. Oczywiście każda okazja, by zobaczyć występ tego zespołu, jest dobra - i nie trzeba tu premierowego albumu, o czym świadczą choćby wyprzedane koncerty podczas niedawnego jubileuszowego tournée. Ja jednak, oprócz ulubionych klasycznych nagrań, z przyjemnością posłuchałbym też na żywo nowych piosenek - a to chyba najlepsza rekomendacja.

**Błażej OCZKOWSKI**

fot. EMI Music, Mark Seliger

# O mądrych dzieciach i takich sobie dorosłych

Początkowo sądziłem, że przeczytam jeszcze jedną, kolejną książkę dla młodzieży Literatury adresowanej do tej grupy wiekowej jest coraz mniej, w miarę jak oferty medialne wypierają klasyczne pozycje literackie. W naszym kraju już niewielu autorów pisze o młodych ludziach i dla młodych ludzi. Tych, którzy decydują się podejmować ryzyko literackiego dialogu z tak trudną grupą odbiorców, dzielnie wspiera wydawnictwo „Media Rodzina” czego dowodem uważni czytelnicy „Pegaza” odnaleźć mogą w numerze 59. Trudno się jednak dziwić, że akcja „Zosi plecionej” – bo o tej pozycji teraz mowa – zagłębia się w polskich, niewesołych realiach. Tam rzecz o prawdziwej biedzie, o wielkich ludzkich dramatach, tam miejsce na cud, jak w najbardziej charakterystycznych obrazach włoskiego neorealizmu. Albowiem taka jest ta polska rzeczywistość, że tylko cud może jej przywrócić równowagę i to zarówno w życiu większości dorosłych jak i – niestety – niektórych dzieci.

Tym większa chwała „Media Rodziny” za próbę wprowadzenia na rynek wydawniczy w Polsce literatury dla młodzieży pochodzącej z innych kręgów kulturowych. Dzięki Bogu, wydawnictwo to nie kieruje się w swojej pracy li tylko względami komercyjnymi i nie ogranicza się w tej mierze do bezpiecznej autostrady – po wielkim sukcesie na całym świecie – „Harry Pottera”. Abstrahując od wielu mądrych przekazów wypływających z całego cyklu perypetii dojrzewającego coraz bardziej czarodzieja, od jego komplikującego się coraz bardziej świata co sprawia, że każda z nowych książek Joan K. Rowling dorasta wraz z czytelnikami – Harry operuje jednak w bajecznym bądź co bądź świecie, w którym zwykle człowiecze problemy



dorastania narastają – powiedzmy – z inną, nieziemską prędkością. O ile zatem Rowling za pomocą świstoklika zawsze wyprowadzi nas do świata nadrealnego, o tyle Jerry Spinelli trzyma się bardzo blisko ziemi, a czasami, wraz ze swymi bohaterami, wręcz się w nią wbija.

„Kraksa” czyli w oryginale „Crash” to opowieść o pewnym chłopaku z miasta Springfield w USA skazanym na sukces. Najszybszy i najsilniejszy w okolicy, wcześniej został wkomponowany do świata gwiazd, choćby były lokalnego kolorytu. Od czasu, kiedy założył pierwszy w życiu kask futbolowy i staranował kuzynkę, musiał piąć się tylko w górę. Spoczywał na nim szczególnie obowiązek stać w centrum zainteresowania i podziwu. Być kimś z powodu czegoś. Zupełnie jak dorosły.

Spinelli, pisarz, który zwrócił na siebie uwagę czytelników i krytyków już pierwszą swoją książką „Gwiazda”, również w „Kraksie” buduje akcję wokół wątku pojawienia się na horyzoncie ustabilizowanej już społeczności nowych postaci, które – nawet tego nie pragnąc – odmieniają rzeczywistość. Także życie „Kraksy” Coogana ulega przemianie po spotkaniu osób, które stają się kamieniami milowymi jego dorastania. Najpierw Penn Webb – szkolna oferra, wieczny optymistą, a zarazem odwieczny rywal, bowiem diamajdowaty Penn ma w zanadru groźny oręż, którym jest w stanie – wbrew swojej woli – upokorzyć „Kraksę”. Zatem – rywal. Potem w życiu naszego bohatera pojawia się Mike Deluca – kumpel idealny, brat – łąta, z którym „Kraksa” rozumie się niemal w pół słowa. Czy rzeczywiście? Jane Forbes – zjawisko, które nicuje poglądy naszego bohatera na dziewczyny w ogóle a kontakty z nimi w szczególności. Jest

tylko jeden problem – Jane w gruncie rzeczy uważa „Krakę” za dupka i mięśniaka i co gorsza – swoich przekonań nie kryje. Jest wreszcie Skuter – ukochany dziadek, emerytowany kucharz marynarki wojennej, ponadpokoleniowy druh, niezrównany opowiadacz niesłychanych historii z mór i lądów, opowieści w trakcie których człowiek czuje się w obowiązku przytulić od czasu do czasu młodszą siostrę. Skuter jawia się na dłużej – po prawdzie to już na zawsze i w życiu „Kraksy” niemal z marszu zajmuje miejsce wiecznie nieobecnych, zapracowanych rodziców.

Zapewniam P.T. Czytelników, że jeśli na podstawie krótkiej prezentacji postaci ważnych w życiu naszego bohatera zbudowali sobie jakiś schemat, to są w błędzie. Odsyłam do książki, w której Jerry Spinelli nie wykrawa kartonowych postaci ani sytuacji z kreskówek. To dzieć się mogło naprawdę – a może rzeczywiście się wydarzyło – nie ma więc tutaj miejsca na „żyli długo i szczęśliwie”. W prawdziwym życiu nie ma bowiem nic za darmo, a wiele rzeczy – czasami zbyt wiele – ma swoją cenę. „Kraksa” też musi swoją takse opłacić aby dojść do pewnych wniosków, coś przebudować w sobie, coś zmienić wokół siebie. Czytamy o tym, kibicujemy jak na prawdziwych zawodach i nie możemy pozostać obojętni. Czy „Kraksie” udało się uniknąć wszystkich przeciwności, co zyskał, a co stracił? Na te pytania odpowiedzi udzielić może tylko książka, ja zaś nie chcę Państwu psuć frajdy z czytania opowieści, którą radzę także przejrzyć dorosłych. Jest tam bowiem kilka ważnych prawd, które nie zaszkodzi przypomnieć rodzicom, także – a może zwłaszcza tym, którzy pragną, aby ich pociechy miały jak najlepszy start. Warto się zastanowić, czy ta opowieść o mądrych dzieciach i takich sobie dorosłych nie przydałaby się także rodzicom i opiekunom w charakterze niezbyt natrętnej, życzliwej, terapii? Dlatego proponuję, abyście Państwo kupiwszy koniecznie tę książkę dziecku, zwędzili ją potem dyskretnie na czas jakiś i przeczytali pokątnie na przykład w wannie. Zapewniam – warto...

Tomasz DYMACEWSKI

**Jerry Spinelli, Kraksa, Media Rodzina, Poznań 2005**

# Rajskie jabłko, czyli szczęście w nieszczęściu

Gdy chodzi o moje osobiste przekonania, wielce cenię sobie ludzi pióra bądź mówców, którzy uczyniwszy dygresję, z gracją wracają do odpowiadającego natenczas głównego wątku i kontynuują go, jak gdyby nigdy nic. W parze z tą umiejętnością idzie na ogół wartość samej dygresji, która zyskuje sobie status nadzwyczaj trafnej ilustracji, celnego przypisu, nieraz przypowieści, wzbogacającej główny wątek bez sprowadzania go na manowce. Z zadowoleniem odkryłem takie właśnie przymioty w książce Martina E. P. Seligmana, który z traktatu o psychologii pozytywnej uczynił opowieść barwną, obfitującą w cenne wiadomości, ale zarazem – w znacznej mierze dzięki fortunnym dygresjom – pouczającą, a niezdawko i zabawną. Tym samym „*Prawdziwe szczęście*” trafia do grupy – nie tak znów licznych – opracowań na poziomie akademickim, które poprzez warstwę poznawczą i ładunek anegdoty nauczają w sposób twórczy.

Seligman i grono jego kolegów, początkowo rozproszonych po świecie i działających we wzajemnej izolacji, poświęcił część swojej naukowej kariery na zgłębianie i rozbieranie mitów filozofii XX wieku. Nader liczne poszukiwania prawd uniwersalnych typowe dla minionego stulecia sprawiły w efekcie, że homo erectus, istota tyleż przewyższająca inne gatunki, co delikatna, ugiąć się jął pod brzemieniem troski i kompleksów, przypominając swoich kopalnych antenatów. Tymczasem badania Seligmana i niezależnie odeń dochodzących do zbliżonych



rezultatów innych uczonych dowiodły, iż ludzie szczęśliwi, kierujący się w życiu optymizmem, wierzący we własne siły, nie tyle góry potrafią przetranszować, ile po prostu żyją dłużej i w większej harmonii ze światem. To ostatnie stwierdzenie również jest tu istotne, harmonia sprzyja bowiem łączeniu pozornie tak odległych od siebie pojęć jak rozsądek i heroizm. Można jednak posługiwać się i jednym, i drugim, byle we właściwym miejscu i o właściwym czasie.

Seligman to postać doceniona już dzisiaj w anglosaskim świecie naukowym. Poglądy, jakie głosi, popierają wywiady środowiskowe, długoletnie obserwacje licznych populacji, testy przeprowadzane wśród reprezentatywnych grup studentów. Za teorią szczęścia Seligmana przemawia i to, że osadzona blisko życia, śmiało opuszcza gabinety uczonych i dylematy rozwiązuje wśród zwykłych ludzi. Autor zwraca zresztą naszą uwagę, że szczęście nie musi - i z reguły w parze nie chadza - z powodzeniem w życiu zawodowym, ani też z dobrą sytuacją materialną. Jeśli w odniesieniu do ludzi majątnych funkcjonuje od dawna już maksyma iż „pieniądze szczęścia nie dają” o tyle zaskakuje poziom frustracji i depresji w środowisku amerykańskich prawników, którzy są w USA grupą zawodową per capita najlepiej sytuowaną i często wskazywaną jako kuźnia ludzi zamożnych. Okazuje się jednak, że statystyka załamań i depresji jest tam wcale niemała. Być może wyciąganie zbyt daleko idących wniosków byłoby błędem, jednak mają ci prawnicy swojego móla, który ich żdera...

Wracając z całą powagą do Seligmana. Wyznając zasadę - opartą również na stanowiącym mądrość ludową porzekadle - że „szczęściu trzeba pomóc” przygotował szereg ankiet i testów, które osobie czytającej książkę pozwolą określić swoją własną pozycję na drodze ku osiągnięciu



szczęścia. Sprawa nie jest bynajmniej prosta, bowiem Darwin, Marks i Freud odepchnęli ludzkość daleko od Edenu na kainowe ciernie egzystencjalizmu i relatywizmu. Mściwie przeszukując zakamarki własnej podświadomości w poszukiwaniu ego które powinniśmy złożyć na ołtarzu społecznej świadomości, zagubiliśmy po drodze umiejętność radowania się z rzeczy prostych, a zarazem ulotnych. Tymczasem Michael Csikszentmihalyi – jeden z bliskich przyjaciół i naukowych sojuszników autora – poświęcił znaczną część

swejej akademickiej drogi definiowaniu i oznaczaniu tych kilku chwil wzlotów, które każdy z nas może osiągnąć każdego dnia i wszędzie: w pracy w domu, na spacerze... Przy okazji: badania statystyczne przeprowadzane na wiarygodnej grupie młodych Amerykanów uczęszczających do ostatnich klas szkół średnich dowiodły, że częste przesiadywanie przed telewizorem nie tylko nie uwzniosła, a wręcz przeciwnie – wywołuje łagodny stres i sprzyja narastaniu depresji. Zatem – nie tędy droga...

Wobec Martina Seligmana pozostaję z rzetelnym szacunkiem, a poczynione tu spostrzeżenia traktuję z całą powagą. Szczęście jest bowiem zbyt poważną sprawą, aby stroić sobie z niego żarty w jakikolwiek sposób. I nawet znana i szeroko od wieków komentowana historia rajskiego jabłka nie zmieni moich poglądów: wszak prarodzice jedząc smaczne owoce czuli się szczęśliwi, a uwznioslili się dodatkowo poznając różnicę między dobrem i złem. Cóż z tego, że wkrótce proza życia przyniosła moralnego kaca? (że o Archaniele i jego ognistym mieczu nie wspomnę). Wszak szczęście nie trwa wiecznie...

Tomasz DYMACEWSKI

**Martin E.P. Seligman, Prawdziwe szczęście. Psychologia pozytywna a urzeczywistnienie naszych możliwości trwałego spełnienia, Media Rodzina, Poznań 2005**

# Nie tylko w promieniach słonecznych opalamy się

*Chorwacja jest – zwłaszcza ostatnio – niezwykle popularnym krajem. Nic dziwnego – to jedno z najmodniejszych miejsc wakacyjnych wypraw Polaków, słynące z ciepłego, łagodnego klimatu i cudownych pejzaży. Ale tak naprawdę niewiele wiemy o tym kraju: mogli się o tym przekonać ci, którzy wybrali się na Dni Kultury Chorwackiej w Poznaniu. I okazało się, że ten niewielki słowiański kraj ma do zaoferowania znacznie więcej niż tylko nadmorskie wakacje.*

Już pierwszego dnia chorwackiego święta miłośnicy dobrej literatury mogli wziąć udział w spotkaniu z kulturą chorwacką w Pałacu Działyńskich przy Starym Rynku. Do Poznania z okazji Dni przyjechali najwybitniejsi współcześni pisarze i krytycy, między innymi Branko Ćopić, Goran Rem czy Simo Mraović. Można było podyskutować o nowościach książkowych i posłuchać co ciekawszych tekstów. Zwolennicy syntez i rozważań naukowych mogli uczestniczyć w konferencji naukowej, przygotowanej przez Katedrę Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza we współpracy z Uniwersyte-tem Josipa Juraja Strossmayera z Osijeku poświęconej Modernizmowi drugiej połowy XX wieku - postmodernizmowi.

Nie brakowało jednak atrakcji nieco lżejszego kalibru. W niedzielny wieczór warto było wybrać się do Auli UAM: najpierw na niezwykle taniec llinkt!Plese poeziju, llinkt!(linkt! Tańczy poezję, linkt!), a po nim na koncert zespołu The Bambi Molesters, znany z suportowych występów przed koncertami REM, a wykonujący muzykę określaną mianem „surf-rocka”.

Były też wystawy. W Galerii „Profil” CK Zamek można było oglądać prace dwóch wybitnych chorwackich artystów: Toma Gotovaca i Ivana Faktora. Pierwszy z nich jest reżyserem filmów awangardowych i akcji performance, które pokazywał na całym świecie. Sferą działań drugiego jest film eksperymentalny, video sztuki i performance, buduje również instalacje. Jest zafascynowany osobowością i twórczością Fritza Langa – w swoich filmach

ukazuje wojenną rzeczywistość, wykorzystując własny materiał oraz posługując się cytatami z jego dzieł. A w Poznańskiej Galerii Nowej można było oglądać sztukę kompletnie w Polsce nieznaną – czyli chorwacki komiks autorstwa Dubravko Matakovicia, jednego z czołowych twórców tego gatunku. Artysta zaczął rysować komiksy podczas studiów, bo – jak sam pisze – „po doświadczeniu ze sztuką plastyczną dotyczącą sforsowania Neretwy, jazdy Tito na czele kolumny i działania maski przeciwigazowej po raz pierwszy profesjonalnie zacząłem rysować komiksy, a więc dla pieniędzy, a nie dla poklepywania po ramieniu i tyłku, skąpych pochwał urzędniczych i popularności wśród towarzyszek”... Ten cytat doskonale oddaje nie tylko charakter twórczości Matakovicia, ale i ironiczny, pełen dystansu stosunek autora do swoich prac i siebie samego.

Po Dniach Kultury Chorwackiej pozostał mi pewien niedosyt. Nie dlatego, że zabrakło malowniczych plaż, żagliówek w starych portach i przytulnych kawiarenek przy molo, czyli tego wszystkiego. W ciągu kilku dni nie udało się powiedzieć wszystkiego o tym, czym żyje inny kraj, co jest najważniejsze w jego kulturze i sztuce. Ale jeśli udało się skłonić kogoś, by sięgnął po książkę któregoś z chorwackich klasyków lub zajrzał podczas wakacji nie tylko na plażę, ale i do którejś z galerii sztuki współczesnej - to i tak dużo. A myślę, że po tegorocznym chorwackim święcie takich ludzi z pewnością będzie całkiem sporo.

Lilia ŁADA

# Uczelnia na miarę Europy

**Rozmowa z profesorem Bogumiłem Nowickim  
– rektorem Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana  
Paderewskiego w Poznaniu**

**Akademia Muzyczna w Poznaniu ma 85 lat, ale teraz najważniejsza jest chyba budowa nowego gmachu z salą koncertową?**

Myślę, że równolegle ważne są niezmiernie dwie kwestie. W sferze dydaktyki to wprowadzanie w czyn procesu bolońskiego. W 1999 roku spotkali się ministrowie edukacji 29 krajów i zakreślili ramy czasowe wprowadzania jednolitej przestrzeni edukacyjnej Europy do 2010 roku. My jako druga uczelnia muzyczna w Polsce wprowadzamy skutecznie od tego roku system „trzy plus dwa” czyli licencjat plus uzupełniające studia magisterskie. Będziemy też wnioskować o sfinansowanie trzeciego etapu czyli studiów doktoranckich. Na razie w sferze kultury tylko dwie uczelnie otrzymują pieniądze na prowadzenie przewodów doktorskich. To Akademia Muzyczna w Warszawie i Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Krakowie.

**A wasza uczelnia – skoro chcecie wprowadzać doktoraty?**

Mamy nowego ministra. Będziemy rozmawiać. Można sobie otwierać studia doktoranckie, ale trzeba mieć zabezpieczenie finansowe. Co innego jeśli coś się robi w formie niestacjonarnej. Wtedy można pobierać opłaty, ale jeśli myślimy o normalnym, trzecim etapie studiów muszą być na to zabezpieczenia. Oczywiście można to robić w porozumieniu kilku uczelni artystycznych. Gdybyśmy się domówili z Akademią Sztuk Pięknych i Uniwersyte-tem im. Adama Mickiewicza wówczas koszty by się rozłożyły. Świetnym przykładem rozkładania się kosztów jest kwestia legitymacji elektronicznych. Koszt matrycy



do hologramu to 30.000 złotych. Jeśli weźmie się oprzyrządowanie i produkcję to my jako mała uczelnia nie jesteśmy w stanie tego udźwignąć, ale okazuje się, że wszystkie uczelnie dogadały się w tej sprawie. W Poznaniu centrum operacyjnym jest Politechnika. Następuje podział kosztów proporcjonalny do liczby studentów.

**Doktorant na uczelni artystycznej to jeszcze rzadkość?**

To wynika z „Ustawy o zrównaniu stopni naukowych”. Już mamy kilku doktorów. Pan Maciej Pabich jest doktorem. Pani Laura Sobolewska jest doktorem, pan Wojciech Maciejowski jest doktorem habilitowanym. Przykładów można mnożyć. To pewien sukces środowiska artystycznego. Myśmymy o to zabiegali, ale jednocześnie to spowodowało, że aktualnie kryteria oceny szkół artystycznych bardzo się zaostrzyły. To paradoks, ale będziemy o tym rozmawiać, na konferencji rektorów. Gdy pisze się ocenę parametryczną uczelni są tam najróżniejsze rubryki. Za to można dostać



tyłe punktów, a za to tyle. Za podstawową działalność, za recitale, półrecitale, koncerty z orkiestrą maksymalnie możemy zdobyć 80 punktów. To jest głęboko krzywdzące. Bo jeśli ktoś myśli, że recital to tylko te półtorej godziny, które artysta spędza na estradzie to jest w głębokim błędzie. To tak samo jakby książeczka trzydziestostronicowa była wynikiem przeczytania tych trzydziestu stron. A to przecież jest poprzedzone wieloma miesiącami pracy naukowej bądź artystycznej. Myślę, że te rzeczy będą podlegały jeszcze jakimś zmianom.

**Ale to co przeciętny poznaniak widzi, to co go interesuje to rosnąca bryła nowego gmachu z salą koncertową. Jesienią zawisła na nim wiecha. Na jakim etapie jest budowa?**

Jeżeli powiem, że to jest w 37 procencie to pewnie by to odpowiadało prawdzie, aczkolwiek wizualnie to wygląda zupełnie inaczej, bo postępy wizualne przy wznoszeniu tego budynku idą bardzo szybko. Ale jest też ta praca, której przeciętny poznaniak nie zobaczy. To żmudna praca wykończeniowa wewnątrz. Muszę powiedzieć, że jakieś moce nam sprzyjają. Pogoda nam sprzyja. Mogło by się zdarzyć, że będzie padał śnieg, a mam wrażenie, że zdążymy przed mrozami. Na to trzeba spojrzeć czy to idzie planowo czy nie. Idzie planowo. Myśmy trochę jako nowe kolegium rektorskie idąc za sugestiami pedagogów, którzy też wnikliwie obserwują co się dzieje, wprowadzili szereg zmian niekiedy poważnych, których nie było w pierwotnym planie. To oczywiście powoduje też jakieś opóźnienia, ale będzie to skutkować poprawą warunków. Można powiedzieć, że wszystko będzie tak jak powinno od strony dydaktyki i prowadzenia uczelni. Myślę, że jeśli chodzi o aulę, salę koncertową wszystko jest na dobrej drodze. Staramy się wszystkiego dopilnować, aby potem efekt był dobry i na koniec wspomnę o akustyce, bo to dla wszystkich wielkie pytanie. A jak to będzie, a co to będzie? Myśmy zastanawiali się mocno jak to zrobić, aby było dobrze, bo zdarza się, że założenia akustyków są dobre lub nie dobre. Z zespołem Chopin Trio graliśmy w bliźniaczych salach w Japonii. Gdy wchodziło się do jednej, do drugiej to tak jakby wchodziło się do tego samego Mc Donalds'a. Ale w jednych brzmiało, w innych jakby

nie. To jest ten syndrom co mają skrzypce. Ten sam lutnik, te same materiały. Jedne brzmia, inne nie brzmia. Nie możemy dopuścić do takiej sytuacji, że zgodnie z założeniami robimy akustykę, pakujemy tam różne elementy, które spowodują dobre brzmienie i na końcu stwierdzimy, że to nie jest tak. A wtedy pewnie trzeba będzie wszystko zrywać.

Dlatego domówiliśmy się z projektantem prof. Jerzym Gurawskim, że będziemy dochodzić do konsensusu małymi krokami, próbując. solo, duet, trio, kwartet, orkiestrę. Jedne elementy będziemy dodawać, inne odejmować, aby nie popełnić jakiegoś błędu. Ta sprawa jest przedmiotem bardzo dokładnego przyglądania się. Jak trzeba będzie na różnych etapach zaprosić specjalistów czy to polskich czy zagranicznych to ich zaprosimy. Naprawdę dla tego miasta warto, aby ta sala była nie tylko piękna, ale i pięknie brzmiała.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK



# Śladami Stasia i Nel

*Kto z nas nie czytał kiedyś „W pustyni i w puszczy”? – tym retorycznym pytaniem rozpoczynało się zaproszenie na jedną z najbardziej niezwykłych wystaw muzealnych, jakie można sobie wyobrazić. Niezwykłą, bo po pierwsze, odbywała się jednocześnie w dwóch poznańskich muzeach, a po drugie – prowadziła odwiedzającego „Śladami Stasia i Nel”, pary najpopularniejszych chyba w naszym kraju młodych podróżników. I w dodatku prowadziła w naprawdę niezwykły sposób...*

## Literatura...

Muzeum, w którym zaczyna się podróż „Śladami Stasia i Nel” to oczywiście Muzeum Henryka Sienkiewicza na poznańskim Starym Rynku. I tu pierwsza niezwykłość – bo wystawa wcale nie była prezentacją wyprawy Stasia i Nel, ale przedstawiała podróż do Afryki samego Sienkiewicza, od której tak naprawdę rozpoczęło się powstawanie słynnej powieści. Sienkiewicz z przyjacielem przyплыли do Kairu w grudniu 1890 roku, skąd organizowali krótkie wycieczki do miejscowości odwiedzanych później przez Stasia i Nel. Pisarz był też na wyspie Zanzibar i w Tanzanii, gdzie wziął udział w wyprawie nad rzekę Wami. Jednak jego osobiste wrażenia niewiele miały wspólnego z ekscytującymi przygodami małych bohaterów. Mało jeszcze

znany, tak odmienny od europejskiej kultury kontynent kojarzył mu się głównie z... niewygodami. „Wyobraźmy sobie teraz człowieka przywykłego jeździć w wagonie, w powozie lub na statku, jechać o swojej porze, sypiać w wygodnym łóżku, chować się pod dach w czasie niepogody, który nagle znajduje się wśród dzikich krajów, czyni dziennie ogromne pochody, sypia w namiocie prawie na ziemi, czasem pod gołym niebem, jada byle co, pije wodę koloru kawy z mlekiem lub czekolady, moknie na każdym dżdżu, piecze się na słońcu...” – pisał rozżalony pisarz w „Listach z Afryki”. I po kilku miesiącach, mając dość tego kontynentu, uciekł do Europy. I chyba nic bardziej niż „W pustyni i w puszczy” dowodzi wielkości talentu literackiego Henryka Sienkiewicza – Afryka w książce jest przecież dzika, ale fascynująca.





jąca, piękna i urzekająca w swej wielkości – jednym słowem zupełnie inna...

– Pamiętam, że mój dziadek często w dzieciństwie wspominał mi o swojej podróży do Afryki – wspominał na otwarciu wystawy wnuk pisarza, Juliusz Sienkiewicz.

– Opowiadał niezwykle barwnie, słuchałem go z zapartym tchem. Kiedy już przeczytałem „W pustyni i w puszczy” byłem przekonany, że on opisał tu po prostu własne przygody, a moja babcia jest Angielką...

## ...i archeologia

Drugą wystawę można oglądać w poznańskim Muzeum Archeologicznym, które przecież nie od dziś słynie z bliskich związków z Afryką. Na tamtejszych wykopaliiskach pracuje wielu polskich naukowców z nieodżałowanym profesorem Lechem Krzyżaniakiem na czele. To właśnie on był pomysłodawcą tej wystawy.

W tym muzeum podróżując „Śladami Stasia i Nel” znajdziemy Afrykę z przeszłości – obrazy z XIX-wiecznego Egiptu i północnego Sudanu, czyli krajów i czasów, w jakich przeżywali swoje przygody nasi bohaterowie. Są tam więc przedmioty znalezione podczas wykopaliisk, ale i beduiński szałas, i nubijski dom – dokładnie takie, z jakimi młodzi podróżnicy mogliby się zetknąć. Perelką wystawy są fotografie Afryki ze schyłku XIX wieku, pochodzące z

anonimowego albumu, jaki udało się kiedyś kupić profesorowi Krzyżaniakowi. Towarzyszą im zdjęcia współczesne, powstałe dzięki archeologom prowadzącym wykopaliiska w Afryce i znającym ten kontynent jak własną kieszeń. Ponieważ jednak archeolog to także historyk, ważnym – może nawet najważniejszym – elementem wystawy są fakty, dotyczące tego, co naprawdę działo się w XIX-wiecznej Afryce. Wiadomo nie od dziś, że pisarz wielokrotnie minął się z prawdą historyczną w swojej powieści: Mahdi nie był taki zły, a angielscy kolonialści tacy dobrzy. Naprawdę słynny prorok walczył o wyzwolenie spod angielskiego kolonializmu, a Anglicy, przedstawiani przez pisarza jako szlachetni rycerze i krzewiciele cywilizacji, niewiele się różnili od zaborców, którzy rozdrapali Polskę między sobą... Wystawa bardzo dokładnie i z mapą w ręku prowadzi nas szlakiem podróży fikcyjnych bohaterów, prezentując wszystkie te miejsca, gdzie działy się ich przygody. Jednak – inaczej niż powieść „W pustyni i w puszczy” – pokazał nam Afrykę taką, jaka była i jest naprawdę, ale na szczęście nie tracąc po drodze niczego z romantyzmu, jakim przepełnił ten kontynent Henryk Sienkiewicz...

Lilia ŁADA  
fot. archiwum

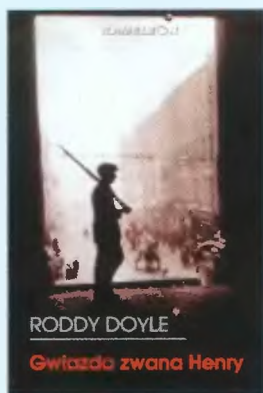


# Gwiazda nieszczęśliwa i przegrana

Irlandia staje się nam ostatnimi czasy coraz bliższa. Po starcie z nienajlepszej pozycji państwo to wysunęło się z ostatnich szeregów Unii Europejskiej niemalże do czołówki. Optymiści wskazują na wiele cech wspólnych, jakie łączą nas - Polaków z mieszkańcami Zielonej Wyspy. Żarliwy katolicyzm, umiejętność improwizowania niezależnie od okoliczności, przywiązanie do tradycji, patriotyzm nie tylko na pokaz, zdolność do poświęcania spraw osobistych w imię wyższych celów, wszystko to składa się na te same barwy i odcienie, jakimi nakreślić można portrety obydwu narodowości. Jeśli jednak optymistom zda się, że tak wiele nas łączy dobrego, nie od rzeczy sięgając po książkę Roddy Doyle'a przyznać, iż porównywalnych negatywów w dziejach obu narodów jest również sporo. Co do mnie jednak, chylę czoła przed irlandzką szczerością, otwarcie wytykającą sprawy wstydlive i niepiękne we własnej historii.

Niegdyś najbardziej pogardzani, upodleni poprzez wszechobecną nędzę, nienawidzący nielicznych uprzywilejowanych, którym odmawiali wręcz miana współziomków, Irlandczycy w opinii wielu brytyjskich polityków i działaczy społecznych stanowili ropiejący wrzód na zdrowym ciele Imperium. Z dna nędzy, z niewyobrazalnie rozpaczliwego położenia wylaniało się zawsze pokolenie mścicieli, którzy wbrew wspólnocie imperialnych celów, w nosie mając możliwość zaprowadzenia powszechnego dobrobytu, gotowi byli sprzymierzyć się z diabłem samym, aby osiągnąć iluzoryczną wolność. Tak przynajmniej oceniali rzecz całą Brytyjczycy, których jedynym sukcesem okazało się przeciwstawienie katolickiej większości aktywnej i pozbawionej tolerancji garstki unionistów. Ci protestanczy, a więc „obcy” Irlandczycy też mieli swoje racje a ich cele, oceniane obiektywnie, stwarzały dla narodu określoną alternatywę. Była to jednak alternatywa politycznej niewoli.

Wewnątrz owego irlandzkiego kotła przyszedł na świat Henry Smart, tragiczny



bohater opowieści Doyle'a. Uwielbiany przez kobiety, wychowany przez dublińską ulicę, skazany od niemowlęcych lat na sierocą samodzielność, walczący o byt własny i pozostającego pod jego opieką brata, napiętnowany został, sam o tym nie wiedząc, nędzą swego pochodzenia. Pozornie Henry okpił swój los, oszukał przeznaczenie. Znalazłszy się w samym centrum wydarzeń związanych z walką Irlandii o niepodległość, wziął udział w legendarnym powstaniu Wiel-

kiego Tygodnia 1916 roku. Po krótkim okresie rozbicia irlandzkich środowisk patriotycznych został zaprzysiężony jako bojownik IRA, instruktor walki czynnej. Sam Michael Collins, jeden z legendarnych twórców irlandzkiej państwowości był człowiekiem, do którego Smart miał dostęp o każdej praktycznie porze. W czymże więc doszukiwać się tragizmu bohatera „Gwiazdy...”?

Otóż ów młodzieniec – zbyt inteligentny aby bez zastrzeżeń akceptować swój los – cierpi na kompleks swego pochodzenia. Zazdrości zmarłemu bratu i imiennikowi zagarniętej przezeń miłości matki. Kocha ojca, którego oskarża – nie bez podstaw – o porzucenie i zapomnienie. Szata samotności i niezależności, w którą się tak chętnie odziewa to tylko sztafaż, bez którego byłby słaby i bezbronny jak niemowlę. Bowiem Henry Smart jest słaby i bezbronny. Jego gwiazda choć jasna, świeci fałszywym blaskiem. I ostatecznie Smart przegrywa w nierównej walce z losem i przeznaczeniem. Opuścić musi wszystko to, co kocha, ale i to, czego nienawidzi, a co jak powietrze potrzebne mu do życia. Czy odnajdzie się za wielką wodą? Tego nie wiemy, o tym zapewne traktować będą kolejne opowieści z cyklu Roddy Doyle'a.

Henry Smart wielbi swoją rodzinę, kocha Dublin, radby przycisnąć do serca wszystkich pobratymców. Pomimo tego, że rodzinę traci, rodzinę miasto to dlań przede wszystkim zamtuzy i rysztocki, rodacy zaś bez skrupułów opuszczają go w potrzebie. Biedny przegrany Smart...

Lektura „Gwiazdy zwanej Henry” przyprawia o przynębienie, któremu nie sposób się oprzeć. Jumość i nonszalancja bohatera, jego sarkastyczny i drapieżny stosunek wobec rzeczywistości to tylko pozory. Słaby i zagubiony Henry Smart ucieka nie tylko dlatego, że – tak jak jego ojciec – nie uniknął swego przeznaczenia – jest zawodowym mordercą. Znika, bo przestaje być potrzebny, bo w odradzającej się Irlandii coraz mniej jest miejsca dla szlachetnych rzezimieszków. Zaś Henry Smart jest właśnie pełnym wdzięku łotrem o kryształowym charakterze i z lekka tylko cynicznych zasadach. Ostatnim romantyzmem dublińskich slumsów, który morduje drewnianą nogą ojca i nawet w tym narzędziu zbrodni ukazuje się jego szacunek dla tradycji, a zarazem moc przeznaczenia i szczególnego dziedzictwa. Henry Smart nie jest Robin Hoodem, szlachetnym zbójcą, tylko rzezimieszkciem, czasem działającym z pobudek patriotycznych. To nie jest prawdziwa gwiazda, ani nawet jej widmowy odbłask. To jest Henry Smart, tragiczny chłopak, który wbrew sobie zaplątał się w historię. Warto choćby dlatego poświęcić czas i uwagę owej autentycznie nietuzinkowej opowieści.

Tomasz DYMACZEWSKI

**Roddy Doyle, Gwiazda zwana Henry, Zysk i Ska Wydawnictwo, seria z Kameleonem, Poznań 2004**

# Były sobie warsztaty...



Jeśli zapytać małych obywateli naszego kraju, kim chcieliby zostać w przyszłości, przeważnie padają nazwy odpowiedzialnych zawodów: strażak, policjant, piekarz, modelka, etc. Stosunkowo niewiele młodocianych deklaracji dotyczy dziennikarstwa. Szczerze mówiąc, w czasach szczęśliwego, sielskiego dzieciństwa świat jest na tyle interesujący, że nie ma jeszcze potrzeby rozszerzać go przy pomocy mediów.

Jeśli zatem w pewnym momencie swego życia młodzież zaczyna przykładć się do pióra, traktować aparat fotograficzny i kamerę jako źródło utrwalania obrazu o wyższej użyteczności społecznej, jeśli w głowach zaczynają roić się wspaniałe pomysły na wywiady, reportaże, to dzieje się tak za sprawą otwierania się na świat i jego problemy. Rzecz jednak w tym, że profesja dziennikarska zalicza się do grupy zawodów trudnych, w których wiedza teoretyczna odgrywa istotną, jednak nie decydującą rolę. Niemal równie ważna jest wiedza praktyczna, kontakt ze środowiskiem, które na codzien dziennikarstwem się para, cenne rady i uwagi rozszerzające również horyzonty myślowe i wrażliwość na otoczenie adeptów trudnej

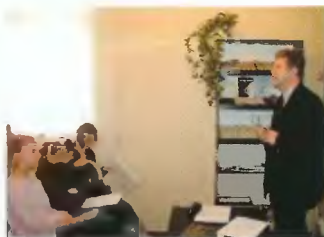
sztuki obcowania z ludźmi i przekazywania ich problemów. Jest wreszcie wiedza tajemna, pieczęć indywidualna każdego dziennikarza – profesjonalisty, pewne metody, a nawet sztuczki, które jemu właśnie przynoszą powodzenie wówczas, gdy inni nadaremnie starają się zgłębić oporny temat. Jest zatem dziennikarstwo dyscypliną złożoną, zatracającą czasami i o alchemię społeczną. Wiele tu miejsca na zdobywanie praktycznego doświadczenia, podpatrywanie innych, którzy już sporo potrafią.

To jedna strona medalu. Z drugiej strony coraz częstsze sygnały o obniżającym się poziomie dziennikarstwa o braku profesjonalizmu młodych ludzi, którzy się tą odpowiedzialną działalnością parają, wulgaryzmy i wymuszony „luzacki” sposób bycia na antenie czy przed kamerą denerwują nie tylko tradycyjnistów. Rozczarowani i zbulwersowani są również ci, dla których dziennikarstwo kojarzy się z rzetelną informacją, elegancją i określonym stylem prowadzenia programów, audycji, wywiadów. Ważne jest także i to, aby prasa pozostawała prasą, a co za tym idzie, aby nie sprzeniewierzała się bogatymi i pięknym tradycjom, jakie polskie media, poczynając od XIX wieku wyróżniały na tle gazet państw zaborczych.

Wiele było zatem powodów, aby wyjść naprzeciw zainteresowaniu dziennikarstwem młodych ludzi, którzy mieli już za sobą pierwsze doświadczenia praktyczne w szkolnych gazetkach i radiowęzłach. Nie tylko w samym Poznaniu, ale i w diecezjach miejscowości – jak Wielkopolska długa i szeroka – młodzież podejmuje pierwsze dziennikarskie próby pod kierunkiem nauczycieli i zapaleńców z lokalnych mediów, którzy znajdują dość czasu i dobrej woli, aby pomagać w tworzeniu i rozwijaniu spontanicznych inicjatyw. Taką działalność warto wspierać, trzeba ją docenić i dopomóc.

Takie oto założenia legły u źródeł wspólnego przedsięwzięcia, które Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych podjęła wspólnie z zarządami kilku powiatów w Wielkopolsce i redakcjami lokalnych gazet. W tym wypadku inicjatywie przyklasnęły

nie tylko samorządy, ale i Stowarzyszenie Prasy Lokalnej i dzięki skoordynowaniu wszystkich działań w trzech wielkopolskich miastach odbyły się warsztaty dziennikarskie dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych. Chętnych nie brakowało: zarówno w Kościanie, Śremie, jak i Wągrowcu, każdy wykład stawał się okazją do dyskusji z młodymi pasjonatami, którzy niezwykle poważnie potraktowali możliwość spotkania z profesjonalistami i rozszerzenia własnych umiejętności. Dziewięcioletniowy cykl spotkań zakończył się 2 czerwca w Poznaniu całodziennymi warsztatami podsumowującymi, w trakcie których młodzież miała okazję aby podpatrzeć starszych kolegów – profesjonalistów przy pracy, czy to w siedzibie Poznańskiego Ośrodka Telewizji, czy w siedzibie Radia RMI FM. Pracowity dzień zakończył się w



Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych, gdzie spotkaniu z władzami i zaproszonymi gośćmi towarzyszyło wręczenie pamiątkowych dyplomów i nagród – książek o dziennikarstwie i przez dziennikarzy napisanych. Wszyscy uczestnicy – a

było ich blisko 200 – oceniali ten dzień jako bardzo udany. Pozytywnie odnieśli się do osiągniętych efektów także organizatorzy warsztatów, którzy, poczynając od jesieni, rozpoczęli kolejną turę spotkań. Tym razem rzecz potraktowano dwutorowo. Z jednej strony spotkanie w WSUS z kierownictwem i redakcją studenckiego miesięcznika Łoża, nowe wyzwania połączone z solidną dawką dziennikarskiego abecadła. Udział biorą przede wszystkim uczestnicy poprzedniej, wiosennej – letniej tury. Są też nowe spotkania w nowych miastach. W Grodzisku, w Wolsztynie, w Nowym Tomyślu...

Kolejny, nowy etap spotkań to realizacja porozumień Szkoły i niektórych placówek oświatowych. Niedawno podpisane porozumienie z Liceum Ogólnokształcącym nr V zaowocowało już wspólnym koncertem charytatywnym. A więc: były warsztaty i będą nadal, bowiem warto współpracować z młodzieżą ucząc ją zarazem dziennikarstwa.

Tomasz DYMACEWSKI



*Wszystko zaczęło się od koni*

# Pasażerowie pod prądem



*Zanim w Poznaniu nastał czas tramwajowych bublei miejska komunikacja szczyciła się świetnym taborem i długą tradycją. Ta ostatnia sięga 1880 roku i związana jest ściśle z zajezdnią przy ulicy Gajowej. Niestety wyrok na tę ostatnią już zapadł. Tramwaje będą jeździć nadal.*

125 lat wzlotów i upadków zapoczątkowali dwaj panowie O., którzy niewiele mieli wspólnego z polskim rodowodem. Otton Reymar i Otton March w roku, gdy na ulice Berlina wchodziły tramwaje elektryczne, zdobyli koncesję w Poznaniu. Miasto nad Wartą postanowiło rozpocząć od koni.

## Jedna trasa dla furmanów

Historia zajezdni rozpoczęła się dokładnie 1 października 1880 roku. Dwaj panowie O. zyskali koncesję na 35 lat i w tym samym roku przy Gajowej (dawniej Maryi) postawiono budynki zarządu i zajezdni. W pierwszym okresie działalności spółka

**1924** Zdjęcie załogi przed  
budynkiem dyrekcji przy  
ulicy Gajowej





**1924** Dawne warsztaty naprawcze przy Gajowej w 2007 roku przestaną istnieć

stworzona przez dwóch Niemców Otto Reymera i Otto Mascha zatrudniała 56 osób. W skład załogi wchodziło między innymi po 15 woźniców i konduktorów, 11 stajennych i dwóch kowali. Administracja to dyrektor, inżynier, sekretarz i księgowy. Dom dla inspektora

Budynki przy Gajowej w dawnej wsi Jeżycie powstały na terenach należących do kolei stargardzko-poznańskiej. Postawiono tu budynek mieszkalny dla inspektora zakładowego oraz stajnię z 80 bokсами dla koni. Dodatkowo kompleks obejmował też wozownię i kuźnię. By połączyć zajezdnię z istniejącymi trasami tramwajowymi zbudowano drogę dojazdową do Kaponiery, która przez dłuższy czas spełniała jedynie rolę gospodarczą.

## Pierwsze wagony

... dotarły do Poznania w połowie lipca 1880 roku. Mogło w nich podróżować 12 pasażerów rozmieszczonych na dwóch podłużnych ławkach i dwanaście osób stojących na pomostach. W rok po uruchomieniu pierwszej linii firma posiadała 20 wagonów i 74 konie.

## Linia dla każdego

Pierwszą trasę po poznańskich ulicach poprowadzono od nowowyprowadzonego dworca kolejowego przez św Marcin dzisiejszą ulicę Gwarną, 27 Grudnia (Berlińską), Plac Wolności (Wilhelmowski), Paderewskiego (Nową) aż do Ratusza.

Niemiecki interes nie bardzo jednak spodobał się mieszkańcom miasta, którzy początkowo zupełnie zbojkotowali ową nowość. 15 furmanów przez dłuższy czas wozilo tylko Niemców. Dopiero wprowadzenie polskich napisów i opisów tras oraz kampania reklamowa w polskiej trasie przełamała opór rdzennej ludności.

Kilka lat później otwarto kolejne trasy - w stronę Jeżyc i Wildy. Dalsza ekspansja przedsiębiorstwa nastąpiła po zelektryfikowaniu komunikacji miejskiej. Dokonano tego w 1898 roku rozwijając sieć w stronę Zawad i Górczyna. Wart podkreślenia jest fakt, że miało to miejsce o dekadę wcześniej od Warszawy. Ruch wciąż się powiększał. Miasto zamknięte w okowach twierdzy dusiło się i nie miało szans rozwoju. Dopiero decyzje cesarza zezwalające na rozbiórkę wałów i bram fortecznych umożliwiły dalszy rozwój Poznania, a wraz z nim komunikacji miejskiej.

## Tramwajem do wolności

Wielu z nas pamięta poznańskie tramwaje jako miejsca znakomicie nadające się do manifestowania patriotycznych uczuć. Tak się jakoś złożyło, że bimby towarzyszyły manifestacjom zarówno przed Bazarem w 1918 roku, jak i poznańskim robotnikom w 1956 roku. Okres międzywojnia w funkcjonowaniu poznańskiej komunikacji zapoczątkowało 9 linii tramwajowych. Dopiero w 1921 roku powołano na szefa Poznańskiej Kolei Elektrycznej Polaka - był nim Paweł Nestrypke.

## Trolejbusy z prądem

Okres dominacji pojazdów konnych i szynowych złamały kołowce, ale stało się to



Niegdyś również po Nowej dziś Paderewskiego pędziły bimby

dopiero w 1925 roku. Wtedy to na ulicach pojawiły się autobusy, a pięć lat później znane zapewne wielu Czytelnikom trolejbusy – czyli autobusy z pantografem. Ba. Poznań był jedynym miastem w Polsce który do 1939 roku posiadał własną linię trolejbusową i to linię, która przynosiła zyski.

Jak przez mgłę pamiętam jeszcze linię trolejbusową ciągnącą się od Ogrodów w stronę Smochowic. Pamiętam ścisk we wnętrzu pojazdu i to, że słowo trolejbus kojarzyło mi się zawsze z wypiekami pewnej cukierni w Kiekrzu dokąd podążaliśmy z rodziną na piesze wycieczki. To se ne wróti – a szkoda.

Początek trolejbusom dała decyzja Rady Miasta z 1928 roku o budowie linii napowietrznej ze Śródki. Wtedy też zdecydowano o zakupie jednego trolejbusu produkcji angielskiej oraz dwóch podwozi sprytnie obudowanych wówczas przez poznańskich konstruktorów. Tym samym Poznańska Kolej Elektryczna wzbogaciła się w krótkim czasie w trzy trolejbusy. W 1930 roku uroczyście otwarto pierwszą trasę. Biegła ona od Rynku Śródeckiego ulicą Bydgoską do Wiejskiej i z powrotem Główną na Śródkę. Obłożenie linii było tak znaczne, a dochody tak obiecujące, że w krótkim czasie zdecydowano o powiększeniu liczby trolejbusów i w 1934 roku na ulicach Poznania pojawiły się dwa nowiuterńkie Renaulty.

## Niemcy rozbudowali

To co u nas było niejako nowością nie było nią w miastach niemieckich. Okupant biorąc pod uwagę ekonomikę przedsięwzięcia zdecydował, że lepiej będzie wykorzystać wcześniejsze plany Polaków i wprowadzić na ulice kolejne elektryczne trolejbusy niż spalające tak cenne w czasie wojny paliwo autobusy. Tym samym już w 1941 roku otwarto linię prowadzącą na osiedle Warszawskie, a trzy lata później kolejną z Ogrodów do ulicy Lotniczej. Na ulicach pojawiły się też niemieckie trolejbusy Henschel z... przyczepami.

*Trudno sobie to dziś wyobrazić, ale w czasie wojny w skład poznańskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego wchodziły równie statki spełniające rolę rzecznych taksówek. Jak podają źródła po Warcie pływały trzy sztuki.*

*W 1925 roku poznańscy tramwajarze podarowali prezydentowi Cyryłowi Ratajskiemu niezwykle prezent – album ze starymi fotografiami na których znalazły się sceny z zajezdni przy Gajowej. Odnaleziony po latach dokument trafił niedawno w nasze ręce i niebawem zaprezentujemy go naszym czytelnikom.*

## Pomoc przyszła z Gorzowa

Powojenna odbudowa komunikacji miejskiej nie była sprawą łatwą. Zniszczona sieć trakcyjna, brak taboru to tylko niektóre z problemów. Tym niemniej poradzono sobie i z tym Pomoc nadeszła z Gorzowa skąd bardzo szybko sprowadzono trolejbusy MAN-a. Władze miasta poza odbudową linii funkcjonujących w czasie okupacji otworzyły też nową – ze Śródki przez Chwaliszewo do Woźnej i z powrotem. W następnych latach trolejbusy pojawiły się między innymi na trasie z Garbar do Naramowic. Można je było spotkać również w okolicach placu Cyryla Ratajskiego.

W 1970 roku okazało się, że dalsza eksploatacja trolejbusów jest nierentowna. No i jakoś ta komunikacja się kreći, tyle tylko, że szkoda Gajowej. Tak, tak. Niedawno zapadła decyzja o wyprowadzeniu z pierwszej poznańskiej zajezdni zakładu napraw, a w 2007 roku ma się definitywnie skończyć jej historia. Może zbudują tu basen, a może hipermarket. Bimby na Gajowej staną się historią. Tak jak trolejbusy.

Krzysztof SMURA

Jeden z przystanków był zlokalizowany w okolicy figury Nepomucena na poznańskim rynku





# Walka bez recepty ale z nadzieją



Publikacji traktujących o problemach alkoholizmu, czy też – ujmując w sposób węższy – o współuzależnieniu alkoholowym, jest relatywnie dużo. Książka „@buty mojego męża-pl” jest jednak w pewien sposób wyjątkowa. Bohaterki (autorki) poznały się poprzez internetowy serwis

zaufania dla alkoholików i osób współuzależnionych. Przez kilka miesięcy pisały do siebie listy w Internecie dzieląc się doświadczeniami, jak radzić sobie w sytuacji nadużywania alkoholu przez ich mężów. Właśnie te listy składają się na treść książki, która dla Czytelników stanowić może swoisty przewodnik na drodze pokonywania alkoholowego uzależnienia osób bliskich.

Książka nie prezentuje gotowej recepty, jak w takich sytuacjach sobie radzić, bowiem każdy przypadek radzi się własnymi prawami, dostarcza jednak do takiej walki swego rodzaju „oręż”. Przekazuje wiedzę o prawidłowościach rządzących współuzależnieniem, ale co najważniejsze uczy, aby nie poddawać się w obliczu tragizmu i beznadziei.

Pierwszy e-mail Anki z jakim się zapoznaliśmy, to list kobiety zrozpaczonej, przybitej, która nie radzi sobie z alkoholizmem męża. Chciałaby, krzyczeć, ale... nie potrafi. Gdy się z bohaterkami książki rozstajemy, Anka jest już osobą zupełnie inną. Jest w niej mniej strachu, łatwiej wyraża gniew, opuszcza ją stopniowo poczucie winy, zaczyna działać, uczy się dbać o siebie. Po prostu zdrowieje, choć mąż nadal „buja się” między pić, a niepić, między leczeniem, a nieleczeniem.

Agnieszka ten etap ma już za sobą, swym przykładem pokazuje na czym polega zdrowienie żony alkoholika i sens życia na trzeźwo.

Jedynie słusznych recept w książce nie znajdziemy, poznajemy natomiast, a przede wszystkim łatwiej możemy sobie uświadomić, prawidłowości rządzące współuzależnieniem. To zwłaszcza prawda podstawowa, iż współuzależnienie (a lepiej

byłoby chyba nawet mówić o współfascynacji alkoholem) to pułapka, w którą się wpada pod wpływem strachu o bliską osobę. Rodzi się wówczas paranoja, złość, agresja, poczucie winy, wstyd. Koło się zamyka i w tym kręgu, wokół problemów z alkoholizmem toczy się życie rodziny.

„@buty mojego męża-pl” to również sprawdzone przez bohaterki na sobie samych wskazówki, by się z tego zakłętogo koła umieć wyrwać. Takie chociażby jak te, że nawet wyladowywana złość ma mobilizować do działania, że należy pozbyć się poczucia, że jest się samemu winnym wszelkiemu złu świata, że trzeba nabrać poczucia własnej wartości i robić to co dla siebie ważne. Jak to określiła w którymś z listów Agnieszka, trzeba samej stanąć na nogach i... tu pada dosadne określenie, co trzeba zacząć ze złym losem. Tak zwane „mocne słowa” są tu na porządku dziennym, ale to dziwić nie może, bo życie współuzależnionych to przecież jedno wielkie przekleństwo.

Poprzez wymieniane listy to jedna, to druga z kobiet podaje nam lustro, w którym czasami możemy zobaczyć także siebie. Korzystając z doświadczeń bohaterek książki odpowiednio się zachowywać, reagować na własne problemy.

Choć w zasadzie książka pokazuje, jak radzić sobie w sytuacji nadużywania alkoholu przez bliskich, może być również ciekawa dla samych alkoholików. Gdyby bowiem potrafili przeprogramować swoje chore myślenie w zgodzie z podanymi tu radami i wskazówkami, możliwe, że weszliby wówczas na drogę terapii.

Dlatego warto sięgnąć po tę książkę. Wszak z problemem alkoholizmu jeśli nie własnym to osób bliskich (a przynajmniej kogoś z otoczenia w którym się obracamy) i współuzależnienia, spotyka się praktycznie każdy.

A z łamów książki „@buty mojego męża-pl” przebijają siła i nadzieja, że także z tymi problemami można sobie radzić.

Krzysztof MACIEJEWSKI

**Agnieszka Wesołowska, Anna Wasilewska-Śpioch, @buty mojego męża-pl, Media Rodzina, Poznań 2004**

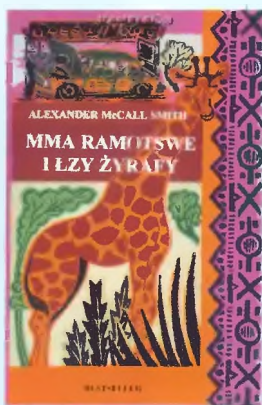
# Proste jak szyja żyrafy

**B**ywają książki dobre, pogodne, ze sporą dozą humoru a jednocześnie z dystansem opisujące rzeczywistość. Rzeczywistość zaś jest zwykła, po ludzku powszednia. Ktoś na kogoś spojrzal, gdzieś roześmiało się dziecko, kobiety w niespiesznym rytmie zmierzały do sklepu. To może dzieć się wszędzie: w Polsce, w Rosji, w Stanach, w Botswanie...

Przedstawiać i przybliżać najtrudniej książki, w których właśnie niespiesznie, bez wstrząsających wydarzeń i zwrotów akcji upływa życie. Zapewne dlatego, że świat opisany w nich poddaje się regułom jedności czasu i przestrzeni nie szafując nadmiernie zagrożeniami i napięciami codzienności bytu. W realnym czasie i przestrzeni Jamesa Bonda wydrwiono by bez litości w Botswanie, a także gdzie indziej. Kobięca Agencja Detektywistyczna Nr 1 w każdym razie z Agentem 007 miałyby poważne problemy. Nie tylko z jako z obiektem dochodzenia, ale i klientem. Trudno zresztą sobie wyobrazić zażywną Mmę Ramotswe, szefową agencji, biegającą po Gaborone z odbezpieczoną bronią.

Alexander McCall Smith po raz drugi wraz z wdzięcznym czytelnikiem udaje się w podróż po świecie Precious Ramotswe. Mieszkanka afrykańskiej Botswany po rozstaniu z pierwszym mężem – saksofonistą, maniakiem jazzu – postanowiła uczynić ze swojej samotności siłę i znalazła pomysł na spełnienie swoich pragnień w pierwszej w tym kraju kobiecej agencji detektywistycznej. Śmiejem domniemywać, że również i „zwykłych” detektywów – mężczyzn nie odszukało by się w Botswanie zbyt wielu. A więc – zawód z przyszłością w wykonaniu zdecydowanej emancypantki?

Otóż Precious Ramotswe emancypantką nie jest. Wręcz przeciwnie – w wielu obszarach szanuje odziedziczone po przodkach wartości i wiernie strzeże tradycji swego kraju, która to tradycja ma jeszcze plemienne korzenie. Tradycjonalistą jest też kandydat na męża – J.L.B. Matekoni – wła-



ściel warsztatu samochodowego, w którym niezmiennie poddaje przeglądowi i okresowym naprawom swój wóz Wysoki Komisarz Rządu Jej Królewskiej Wysokości. Mowa tu o monarchini Wielkiej Brytanii, dla której protektorat roztaczany nad Botswanę, podobnie jak dla mieszkańców owego kraju, jest również elementem tradycji (w przypadku panującej od ponad pół wieku w Brytyjskiej Wspólnocie monarchinii jest to tradycja niespiesznego usamodzielniania byłych kolonii).

Kobięca Agencja Detektywistyczna nie jest może rozrywana przez klientów, lecz powinniśmy pamiętać, że rzecz toczy się w Botswanie, kraju w miarę spokojnym, jak na kontynentalne, afrykańskie realia. Niewielka ilość śledztw obyczajowych (zdrady współmałżonków płci obojga), demaskowanie sprawców drobnych kradzieży, poszukiwania osób zaginionych, to chleb powszedni agencji prowadzonej przez Mmę Ramotswe. Jeśli trafia się sprawa większego kalibru, i tak średnia napięcia jest znacznie poniżej temperatury, jaką serwowali terazniejszy gubernator Kalifornii i jemu podobni herosi wielkiego ekranu. Dla Mmę Ramotswe większym problemem są dziury w drodze niż nóż w sercu. Te pierwsze spotyka się zresztą w Botswanie – podobnie jak i u nas – znacznie częściej niż te drugie. Zapewne i dlatego jest to książka tak sympatyczna i przyjazna wszystkim Czytelnikom.

Przyznaję, że znacznie chętniej sięgam ostatnio po książki pogodne, z tzw. „słusznym zakończeniem”. Proza Alexandra McCall Smitha uspokaja, nawet koi co pozwala zrozumieć niebываłe powołanie w świecie cyklu poświęconego pierwszej w Botswanie kobiecej agencji detektywistycznej. Ostatecznie idzie tu o życie proste. Proste jak szyja żyrafy. I niech tak pozostanie.

Tomasz DYMACZEWSKI

**Alexander McCall Smith, *Mma Ramotswe i lży żyrafy*, Zysk i Ska wydawnictwo, Seria z Kameleonem, Poznań 2004**

# Tajemnice chińskich znaków



*Pierwsze były kości wróżebne. Później kilka tysięcy lat mozolnego rozwoju – aż do dzisiejszych komputerowych bajtów. Mowa rzecz jasna o piśmie chińskim – jedynym na świecie używanym bez przerwy od momentu powstania i jednym z najstarszych. W końcu liczy sobie mniej więcej pięć tysięcy lat... Przy tak sędziwym wieku chyba nikt nie ma wątpliwości, że należy mu się wystawa. Można ją było oglądać dzięki Ambasadzie Chińskiej Republiki Ludowej w poznańskim Muzeum Archeologicznym.*

Tak naprawdę nikt nie ma pewności, kiedy powstało pismo chińskie. Wiadomo już, że za jednej z pierwszych, na polu legendarnych dynastii – Zhou – Chińczycy używali już pisma... węzłkowego. Jednak najprawdopodobniej zaczęło się od kości wróżebnych: łopatek jeleni i żółwich skorup, które najczęściej były używane do tego celu. Na jednej stronie kości wróżbita nanosił pędzelkiem pytanie do bóstwa. Później kość przypalano rozżarzonym prętem, a powstałe w wyniku działania wysokiej temperatury pęknięcia interpretowano jako odpowiedź bóstw. Wszystkie kości z odpowiedziami trafiały do królewskich archiwów. Po wielu stuleciach znajdowane wróżebne kości zaczęto uważać za „kości smoka” i dodawano do chińskich lekarstw. Dopiero przełom XIX i XX wieku przyniósł odkrycie, czym naprawdę są „kości smoka”, a początek XX wieku – pierwszy słownik napisów wróżebnych. To najstarsze znane dziś chińskie teksty.

Wystawa okazała się niezwykle ciekawa także z innych względów. Zainteresowani mogli na własne oczy zobaczyć, jak wygląda tradycyjny warsztat chińskiego kaligrafa z mnóstwem pędzelków i płytek z tuszem oraz arkuszami najbardziej niezwykłego papieru. Kaligrafia jest w Chinach nadal uważana za największą ze sztuk, jej

mistrzowie są otaczani wyjątkowym szacunkiem, a ich prace kosztują majątek. Wielu chińskich uczonych i polityków chwaliło się swoimi umiejętnościami w dziedzinie kaligrafii – nawet sam Mao Zedong był autorem wielu czołówek chińskich gazet. Jednak eksponatem, który pewnie po raz pierwszy można było w ogóle oglądać w Poznaniu, była... maszyna do pisania z chińskimi znakami. Gdyby nie opis, trudno byłoby się zorientować, co właściwie mamy przed sobą, bo maszyna w ogóle nie przypomina europejskiej. Ciekawostką są też tablice wyjaśniające tajniki oprogramowania po chińsku. Jak się okazuje, komputery wolą chińskie znaki od naszych liter. Ponieważ znak przedstawia nie dźwięk, a całe pojęcie, więc komputerowi znacznie łatwiej wyszukać potrzebne informacje.

Mimo swej trudności – nakreślenie każdego znaku, nawet nie kaligraficznie, wymaga wielkiej precyzji – chińskie pismo jest w powszechnym użyciu do dziś. I to wszędzie – można je znaleźć nawet na... popularnej w całej Azji zabawce – pluszowym tygrysie. Wystawę gościła w poznańskim Muzeum w kwietniu bieżącego roku.

Lilia ŁADA

foto Muzeum Archeologiczne w Poznaniu



# Moda po uzbecku

*Zwiewnie, kolorowo i z nutką orientalnej zmysłowości – tak powinna wyglądać modna kobieta według uzbeckich projektantów mody. Ich autorskie kolekcje można było podziwiać podczas wiosennych Poznańskich Dni Mody. A było na co popatrzeć...*

Uzbeccy projektanci bardzo chętnie odwołują się do tradycyjnych wzorów, zarówno w krojach, jak i w tkaninach. W ich kreacjach dominują naturalne tkaniny z przewagą jedwabiu, podstawowego surowca na stroje uzbeckich kobiet od czasu powstania Jedwabnego Szlaku. Jednak jedwab, choć jest wyjątkowo piękny – to wymaga prawdziwego mistrza projektowania, bo nie poddaje się łatwo jakimkolwiek krawieckim zabiegom. Uzbeckim projektantom naprawdę się to udało, a orientalne dodatki – uzbeckie czapeczki lub buty z zawiniętymi w górę noskami – podkreślają tylko urok, i zwiewność jedwabnych kreacji. Poznańscy widzowie mieli też wyjątkową okazję zobaczenia na własne oczy jednego z najpiękniejszych haftów świata – tak zwanego „złotego haftu Buchary”. Złociste motywy zdobiły jedną z damskich marynarek w kolorze głębokiego fioleto, uszytą w tradycyjnym, uzbeckim stylu. Jednak choć to tradycja nadała koloryt całej kolekcji – jej wpływ widać także we wzornictwie – to dzięki mistrzostwu pro-

jektantów wszystkie te stroje może założyć także bardzo współczesna kobieta. I to niekoniecznie z Uzbekistanu...

Lilia ŁADA

fot. serwis prasowy MTP





# Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych

## Zarządzanie i Marketing

Negocjator, Menedżer Mediów, Menedżer Kultury,  
Menedżer Promocji/Public Relations,  
Zarządzanie Bezpieczeństwem i Porządkiem Publicznym,  
Zarządzanie w Organizacjach Samorządowych

## Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Dziennikarz, Edytor, Broker Informacji

## Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo

## Ochrona Prawna Dóbr Kultury

## Roczne Kursy Policealne

- ✓ Studium Komunikacji i Informacji
- ✓ Studium Dyplomatyczno - Konsularne

Szkoła prowadzi nabór na **Studia Podyplomowe**  
na rok akademicki 2005/2006

- ✓ Ochrona Prawna Dóbr Kultury
- ✓ Menedżer Kultury
- ✓ Mediacje i Negocjacje
- ✓ Informacja Naukowa, Elektroniczna  
i Bibliotekarstwo

**POZNAŃ**

ul. Głogowska 26, tel. (61) 886 28 06, 886 28 07 [www.wsus.poznan.pl](http://www.wsus.poznan.pl)

**STUDIA LICENCJACKIE, MAGISTERSKIE I PODYPLOMOWE**  
**STYPENDIA: SOCJALNE, NAUKOWE, DOKTORANCKIE, HABILITACYJNE**